EPOKA

T Y G O D N I K

ROK II | Warszawa, 15 Października 1933 R. | NR. 42 (55)

Bolesny kontrast

Mieszczańska kawalkada

Ponura zabawa

Kodeks i dziedzic

Reportaż z więzienia

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Teatr. Najnowsze książki.

AUTORZY: Rawski. Wasowski. Czarnowski. Waśniewski. Oborski. Wajsblum.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

RZĄDY W KOLONJACH

W „Dzienniku Urzędowym" rządu francuskiego czytamy w dziale „odpowiedzi ministrów na zapytania pisemne":

„Nr. 2008: P. Guernut pyta p. ministra kolonij:

1. Ilu Annamitów od czasu sprawy Yen-Baya zostało skazanych przez komisję karną w Tonkinie i przez sądy mandarynów w Annamie i Tonkinie?

2. Ile zapadło i ile zostało wykonanych wyroków śmierci?

3. Jaka jest obecna cyfra więźniów politycznych — w Tonkinie, Annamie, Kochinchinie?

4. Ilu więźniów politycznych ułaskawiono całkowicie lub częściowo?

5. Czy istnieje odrębny regulamin dla więźniów politycznych i jaki?

Odpowiedź: 1. Liczba skazanych od sprawy Yen-Baya Annamitów wynosi: 1.094, zasądzonych przez komisje karne, 5.803 — przez miejscowe sądy mandarynów.

2. Zapadło 164 wyroków śmierci. 88 wykonano.

3. Więźniów, skazanych za udział w zamieszkach, jest w Tonkinie — 1.091, w Annamie — 1879.

4. Liczba ułaskawionych wynosi 965. Pozatem udzielono 2.810 zwolnień warunkowych.

5. Istnieje odrębny regulamin dla więźniów politycznych Indochin, utrzymany w duchu jaknajdalej posuniętego liberalizmu.

ZE STATYSTYK ANGIELSKICH

Sir G. Newman, naczelnik służby zdrowia przy angielskiem ministerstwie hygjeny, wnosi swym dorocznym raportem cenny wkład do brytyjskiego optymizmu: śmiertelność w Wielkiej Brytanji spada. Stale zmniejsza się od lat 60-ciu. Naród angielski, mimo kryzysu, znajduje się w doskonałej kondycji fizycznej. Są jednak obok świateł i cienie. Odsetek urodzin zaczyna spadać. Wynosi 15,3 promil, co nie wystarcza dla utrzymania obecnej cyfry ludności Anglji. Sir Dawid Lamb, komisarz Armji Zbawienia, konstatuje z przerażeniem, że liczba kobiet przewyższa w Anglji o 2 miljony liczbę mężczyzn. Sir Lamb mówi o „braku liczebnej równowagi związków legalnych". „Nie możemy tolerować tego stanu rzeczy. Nauka powinna go naprawić. Nie zapominajmy o olbrzymich zasobach naszego imperjum. Na terenie Queensland znajduje się np. nadwyżka 40 tysięcy mężczyzn. Zreformujmy te anomalje!"

Według innej znów statystyki, co roku w samym Londynie znika 5 tysięcy kobiet, a w całej Anglji ok. 20 tysięcy kobiet! Większość z nich ginie bez wieści.

Sir Thomas Marlow, lekarz królowej Wiktorji, ujawnił, że współczesne Angielki żyją o 1 rok i 7 miesięcy (sic!) krócej, niż ich babki, mimo postępów hygjeny i sportu: „to wina tytoniu, alkoholu i odchudzania, nakazanego przez modę".

Towarzystwo ubezpieczeń *Metropolitan Life* ustaliło w swych „tablicach śmiertelności", że 20% osób umiera na choroby serca w następstwie przyśpieszonego, zdyszanego dziś trybu życia. Anglicy skarżą się na „zabójczy maszynizm".

Są i weselsze statystyki. Np. prof. Dufton, członek Towarzystwa Antropologicznego, ogłosił sprawozdanie, z którego wynika, że „im ojciec jest starszy — tem potomek inteligentniejszy". Dla poparcia swojej tezy, autor przeprowadził ankietę wśród członków parlamentu i nauczycieli szkolnych. Z dumą odkrył profesor, że większość pochodzi z ojców, którzy przekroczyli już w chwili urodzin dzieci — wiek 40 lat. Obecnie prof. Dufton zbiera dalsze „dowody" dla ugruntowania swojej koncepcji.

UBOGIE STOLICE

Od dwóch lat zamknięte są miejskie szkoły Chicago, ponieważ nauczyciele nie otrzymali pensyj. Dzieci pozbawione są nauczania, jeśli rodzice sami nie potrafią ich kształcić lub nie mogą ich wysłać do sąsiednich miast. Zamknięte szkoły są interesującym przyczynkiem do charakterystyki miasta, które obchodzi na gigantycznej wystawie „stulecie postępu".

Nowy York znajduje się w sytuacji nielepszej. Budżet miejski, który wynosił w r. 1919—250 miljonów dolarów osiągnął dziś 630 miljonów dol.; liczba urzędników miejskich wzrosła od 90 tysięcy w 1924 do 148 tysięcy w 1933, opłacanych bardzo nieregularnie z wyjątkiem policji i straży ogniowej. Deficyt nowojorski sięga 200 milj. dol. Banki odmawiają pożyczek krótkoterminowych. Korzystając z niepopularności „wysokich finansów" burmistrz O'Brien zamierzał stworzyć nowe źródła dochodu przez podniesienie podatku od dochodu maklerów giełdowych z 4 do 5%. Giełda zagroziła natychmiastową przeprowadzką do Jersey City lub Newark, których władze przyrzekły bardziej uprzywilejowane traktowanie giełdziarzy. Ponieważ Nowy York otrzymuje od giełdy przeszło 60 miljonów dolarów, burmistrz rychło porzucił swój projekt podatkowy. 1.100 agentów giełdowych przystąpiło już nawet do „rozbiórki" urządzeń giełdowych, zamierzając przenieść do innego miasta — 120 tysięcy klm. drutu telegraficznego i telefonicznego, 56 klm. przewodów pneumatycznych i 5 tysięcy aparatów rejestrujących. Wobec zdecydowanej postawy agentów giełdowych, projekt uzdrowienia finansów Nowego Yorku kosztem giełdy — zawiódł.

JAPONJA I ABISYNJA

Japonja znalazła nowy rynek zbytu dla swoich produktów oraz nadmiaru swej ludności. Jest nim ostatnie państwo niezależne Afryki, Abisynja.

Przed rokiem specjalna misja japońska, poszukująca rynków zbytu, przybyła do Abisynji. Dziś dzienniki japońskie zapełnione są szczegółami o powodzeniu wyprawy.

Nowiny te zaniepokoiły Anglję, Francję i Włochy. Abisynja odgrywa bowiem rolę państwa buforowego, odgraniczającego rozległe interesy trzech mocarstw w Afryce. Podzieliły nawet samą Abisynję na podległe sobie trzy sfery wpływów.

„Król królów i cesarz Etjopów", Ras Taffari oddał do dyspozycji Japończyków 1.600.000 akrów urodzajnej ziemi, która nadaje się do uprawy bawełny. Japonja uzyskała też wyłączne prawo uprawy maku opjumowego.

W Japonji powstaje już organizacja, która zajmie się emigracją do Afryki. Kupcy japońscy widzą przed sobą nowe rynki.

Jeszcze jeden przyczyenk do „żółtej ekspanji", zagrażającej interesom i stanowi posiadania białych.

O FILMIE FRANCUSKIM

Świetny reżyser francuski, Jacques Feyder, twórca „Nowych panów", ogłosił swoją opinję o filmie francuskim, która posiada również wagę dla tych, którzy widzą niedomagania i braki zarówno organizacyjne, jak artystyczne kinematografji polskiej.

„Film francuski posiada duże możliwości, lecz niema produkcji francuskiej. Do dziś Francuzi zapoznają pierwszorzędne znaczenie kina, jako przemysłu. Finansiści nie współpracują stale z produkcją filmową. Czynią to dorywczo, bezplanowo. Przemysłowcy i finansiści nie ufają kinu. Czy boją się oszustów grasujących w wytwórczości filmowej? Lecz przed 30 laty przemysł np. samochodowy opanowany był przez najgorszych „piratów", co nie przeszkodziło powstaniu wytwórni Citroena, Renault czy Hispano-Suiza.

„Z wyjątkiem kilku towarzystw filmowych, które istnieją jeszcze, oddane na łaskę przypadku, niekompetencji i nieuczciwości, inne popadły już w mniej lub więcej jawne bankructwo. Film francuski opiera się na drobnych producentach, bez szerszych aspiracyj i środków.

...„Zakładać towarzystwo dla zrobienia jednego filmu ma tyleż sensu, co samodzielne skonstruowanie samochodu. Traci się niepomiernie więcej czasu i pieniędzy niż w specjalnej wytwórni. Żaden kraj nie jest bogatszy od naszego w artystów i dekoratorów, muzyków, scenarzystów, lecz nie znaleźliśmy ani jednego organizatora dla racjonalnego ich wykorzystania. Niema dziś sztuki bez zorganizowanej produkcji. Tak samo w filmie, jak np. w przemyśle meblowym. Aby od czasu do czasu skonstruować artystyczny mebel, trzeba przemysłu meblowego.

„Wiemy, że w Ameryce film należy do jednego z pierwszych przemysłów narodowych. System zaoceaniczny niszczy niewątpliwie wiele indywidualności, jak np. King Vidora. Niema o to obawy u nas, gdzie wobec Hollywood nasza produkcja zachowa skromne rozmiary. Lecz pomiędzy nielitościwym tayloryzmem amerykańskim a naszą rodzimą anarchją jest miejsce na racjonalniejsze, lepsze stosunki."

GDZIE WYJŚCIE?

W składzie aptecznym przy jednej z głównych ulic Warszawy wydalono za nadużycia chłopca do posyłek i sprzątania sklepu. Chłopiec pobierał pięćdziesiąt złotych miesięcznie. W tem wszystkiem niema nic osobliwego. Ale na jego miejsce zgłosił się między innymi z prośbą o posadę człowiek wykształcony, władający nadto sześcioma językami obcemi. Właściciel składu, człowiek inteligentny, odmówił przyjęcia go na posadę, motywując to tem, że sam czułby się ciągle upokorzonym, patrząc, jak człowiek wykształcony zmuszony jest szorować podłogi i biegać na posyłki, że jemu, jako pracodawcy, byłoby nieswojo wydawać wiele zleceń, związanych z czynnościami gońca; w rezultacie więc, co jest możliwe bardzo, człowiek ten nie przyniósłby żadnych korzyści przedsiębiorstwu. Można zrozumieć motywy odmowy. Ale cóż ma robić w naszych czasach człowiek wykształcony, jeżeli wiedza jego niema zastosowania i jeżeli znajomość sześciu języków pragnie niby ścierkę zarzucić na szczotkę do wycierania podłóg?

BOLESNY KONTRAST

Szkolnictwo nasze znajduje się pod znakiem głębokich przemian. Tworzy się jednolita szkoła polska, oparta o zwartą konstrukcję organizacyjną. Nowe programy sięgają w treść wewnętrzną szkoły zarówno w dziedzinie nauczania jak i wychowania.

Aby jednak reforma szkoły polskiej stała się dziełem wykończonem i w skutkach swych przyniosła wartości, jakie tkwią w jej założeniu, musi ona sięgnąć we wszystkie dziedziny życia szkolnego, przebudować je i przystosować do nowych potrzeb i nowych możliwości.

Reforma szkolnictwa przypada na okres, w którym szkoła boryka się z szeregiem trudności, w którym warunków pracy szkolnej nie można uważać za znośne.

Mamy rozpaczliwy brak lokalów szkolnych. Setki tysięcy dzieci nie korzysta z dobrodziejstwa szkoły. Jednym odroczono obowiązek szkolny, innych poprostu nie przyjęto z powodu braku miejsca. A liczba dzieci rokrocznie wzrasta.

W tym stanie rzeczy należy się spodziewać, że długo jeszcze szkoły nasze będą przepełnione ponad miarę dopuszczalną. Już dziś 60 dzieci w klasie to przeciętne minimum. W wielu szkołach liczba ta jest znacznie większa. Rzecz prosta, że w tych warunkach nauczyciel nietylko nie może zająć się wychowaniem młodzieży, ale nie znajduje czasu, aby należycie skontrolować zasób wiedzy dziecka i jego postępy w nauce.

Niejednokrotnie trudno mu nawet zapamiętać nazwiska swych uczniów. Gdzież tu może być mowa o poznaniu indywidualności dziecka, o jakiemś serdeczniejszem zajęciu się uczniem słabszym, wymagającym szczególniejszej opieki i pomocy, której w takiej gromadzie zastosować niesposób.

W takich warunkach najlepszy nawet system nauczania zawodzi całkowicie, a praca wychowawcza staje się iluzją. Kontrola pracy dziecka odbywać się może tylko w bardzo odległych odstępach czasu.

Kontakt bezpośredni nauczyciela z dzieckiem, indywidualne podejście do każdego z nich przenosi się w sferę pobożnych życzeń.

Weźmy znowu dla przykładu wypracowanie piśmienne. Boć przecie jest ono jednym ze środków opanowania wiadomości; wypracowanie piśmienne jest też jednym ze środków poznania inteligencji dziecka. Przy nauczaniu języka wymaga się przeciętnie 4 wypracowań piśmiennych w miesiącu, co stanowi w jednej klasie 240 wypracowań. Nauczyciel ma takich klas 6, czyli w sumie 1440 wypracowań. Wypada 48 wypracowań do poprawienia dziennie. Nauczycielstwo szkół powszechnych skarży się, że w szkole powszechnej liczba ta dochodzi do 100 wypracowań dziennie, szczególniej na niższych stopniach nauczania, gdzie konieczna jest kontrola częstsza i dzieci piszą częściej i więcej. Jest to praca, przechodząca siły normalnego człowieka.

Niemniej ważnem zagadnieniem wychowawczem w szkole jest sprawa t. zw. pauz szkolnych, czyli przerw międzylekcyjnych. W szkołach miejskich, „szkołach-fabrykach", jak je nazywa nauczycielstwo, uczy się od 1.000 do 2.000 dzieci równocześnie. Boisk niema najczęściej, a jeśli są, to za małe. Co

zrobić z dziećmi w czasie przerwy? A przecież dziecko pragnie pewnej swobody, ruchu, zabawy, co ma duże znaczenie wychowawcze. Tymczasem przerwa odbywa się na korytarzach, ciasnych, wąskich i zazwyczaj ciemnych, albo w zaduchu pełnych klasach. Warto się przyjrzeć i przysłuchać temu dziecięcemu „wypoczynkowi". Żal dzieci i żal nauczycieli. Pauza w szkołach miejskich — to krzyk i hałas. A potem w ciągu lekcji przerabia się ćwiczenia gimnastyczne, by „przeciwdziałać ujemnym skutkom pracy szkolnej".

Na wsi natomiast korytarzy niema, a boiskiem jest zazwyczaj ulica, albo — ciasne, zagnojone podwórze zagrody gospodarza, u którego wynajmuje się lokal na szkołę.

A takich bolączek natury pedagogicznej i wychowawczej, szczególnie na terenie szkoły powszechnej jest bardzo dużo i rosną one wraz ze stale pogarszającemi się warunkami pracy.

Najważniejszą jednak bolączką szkoły jest to, że nauczyciel nie ma czasu i możliwości, by zająć się dzieckiem, zbliżyć się do niego i poznać je. Podczas gdy nowe programy szkolne stawiają dziecko na pierwszym planie zainteresowań szkoły, nakazując szczególniejszy respekt dla jego indywidualności — to *warunki pracy szkolnej przekreślają dziecko, jako indywidualność*.

Oto sprzeczność pomiędzy zasadami reformy szkolnej, a warunkami, w jakich ma się ta reforma realizować.

Mamy tu przykład, ile jeszcze trudu i wysiłków ze strony państwa, samorządu i społeczeństwa wymaga przystosowanie warunków pracy szkolnej do nowych wskazań pedagogicznych. Nie należy się łudzić, że słuszny, dobry program — to już wszystko. I należy pamiętać, że za niedomagania szkoły, płynące z kontrastu pomiędzy zaleconym systemem nauczania, a obecnemi warunkami pracy szkolnej, nie może ponosić winy nauczyciel.

Aleksander Rawski

MIESZCZAŃSKA KAWALKADA

W nowym i już głośnym filmie „Kawalkada" mamy sporo bolesnych westchnień i smutnych słów na temat wojny. Film ten został sporządzony z wielkim nakładem pracy, a niektóre epizody wywierają mocne wrażenie i przywodzą na pamięć najwspanialsze filmy antywojenne. Naogół jednak mamy tu zwężony obraz tragedji wojny: oglądamy ją od strony salonu i pod kątem wyobrażeń par excellence burżuazyjnych, a w niejednej scenie — otrzymaliśmy manifestacyjną dawkę moralności mieszczańskiej. W rzędzie najstraszliwszych skutków wojny postawiono tu — osłabioną frekwencję w kościołach, rozwody i zabawy w dancingu. Grozę ma budzić, naprzykład, to, że kobiety podczas tańca wyginają się lubieżnie, a podczas przerwy palą papierosy. Tak zademonstrowane „skutki wojny" wydatnie osłabiają efekt filmu. Rzeź narodów i — frywolność erotyczna w tańcu... Sprawy cokolwiek niewspółmierne...

Pod tym względem tendencja „Kawalkady" jest nieco zapóźnionem echem walki z dancingiem, jaką w pierwszych latach powojennych prowadzili przerażeni Katoni, tu widząc zło najokropniejsze. Dancing, krótka suknia, czy kostjum kąpielowy lub sportowy — oto miały być złowróżbne objawy współczesnej Sodomy i Gomory.

O tej śmiesznej niewspółmierności w ocenie społecznego zła pisał J. Wasowski w książce p. t. „Herezje":

„Drwimy z tych klątw nie dlatego, żeby dancing był dla nas jakąś świątynią dobrej radości, a krótkie suknie szczytem rozkoszy i największem zwycięstwem postępu. Śmiejemy się i drwimy dlatego, że ci wzburzeni kaznodzieje wybrali sobie bzdurnie mały przedmiot moralnego gniewu i śmiesznie błahą okazję do wygłaszania swych nauk budujących. Pomijają zaś wielkie obszary zła, krzywdy, niedoli, niesprawiedliwości, rzeczy okropnych, wołających o pomstę do nieba. Ich gniew skierowany jest tylko na te odcineczki, gdzie ktoś tańczy „niemoralnie", lub ubiera się „podniecająco". Jak się tu nie śmiać z takich moralistów, którzy na obrazie życia, pełnego cierpień, wybrali sobie tylko frywolne i błyskotliwe punkciki i w te punkciki zapatrzyli się, tu widząc największe niebezpieczeństwo dla przyszłości narodu i świata.

Kiedy się słyszy słowa groźne, dramatyczne o dancingach, o zbyt wielkiej swobodzie obyczajów, o złych wpływach ulicy na młodzież i t. p., zawsze chce się zawołać: gdyby tylko to, gdyby tylko tyle! *Jest niepomiernie gorzej*, niż piszą i mówią nasi moraliści. Wszystko to, co ich niepokoi, jest niczem w porównaniu z rzeczywistym obrazem życia moralnego naszych czasów.

Kogoś przeraża dancing. Duszno, ciasno, obrzydliwie, niemoralnie. A czy ten przerażony pomyślał w wielu tysiącach mieszkań jest ciasno, duszno, obrzydliwie, niemoralnie? Czy pomyślał o mieszkaniach, gdzie w jednym pokoju gnieździ się parę rodzin i co tam słyszą, co tam widzą dzieci? Gdyby tylko niemoralny dancing! Zastanawialibyśmy się wówczas nad tem, czy owa jedna tysiączna ludności bawi się dobrze, czy niedobrze. Ale skoro o moralnem życiu społeczeństwa mowa, to raczej przychodzi na myśl położenie olbrzymiej, przytłaczającej większości, która nie bawi się ani moralnie, ani niemoralnie, tylko męczy się i wegetuje w niemoralnych, bo krzywdzących warunkach.

Ktoś gniewa się, że „nasze panie" za dużo się bawią, za dużo tańczą i za mało zajmują się domem. Może. Ale to jeszcze nie jest społeczeństwo. To taka sobie mieszczańska czy burżuazyjna wysepka na morzu niedoli. Jeśli gniew rzetelny może porwać, to na myśl o tysiącach i tysiącach kobiet, które przez nędzę pchane są po moralnej pochyłości na samo dno pohańbienia. Kto się potrafi gniewać z tego powodu, już go nie stać na cierpienie, że ...w dancingu widzi się pozy zbyt lubieżne.

W inne uderzajcie tony. Inaczej mówcie. Rozszerzajcie pole swego widzenia. Oczy otwórzcie szeroko na rzeczywistość dzisiejszą, żeby wasze nauki były poważniejsze. Bo śmieszy nas karykaturalna niewspółmierność pomiędzy tem, co naprawdę musi budzić grozę, a tem, co was przeraża".

Pokazać okropności wojny, dramaty rodzin osieroconych, stosy trupów, a potem skutki... w dancingu, to jest właśnie owa śmieszna, bezmyślna niewspółmierność. I to w filmie *współczesnym*, na którego sporządzenie złożyło się tyle wysiłków artystycznych! Ma to być film ideowy, antywojenny. A cały patos moralny sprowadza się do nauki: nie prowadźcie wojny, bo podczas kazań w kościołach będzie mało publiczności, bo zwiększy się liczba rozwodów, bo w dancingach będą ludzie tańczyli w sposób nieprzystojny.

Słabe argumenty. O wiele za słabe w walce z wojną.

Zamiar ideowy „Kawalkady" — ku końcowi filmu skurczył się, zubożył, zmalał. Góra urodziła mysz. Z wielkiej burzy mały deszczyk.

Widz

ODGŁOSY

ZAMĘT W POJĘCIACH

Naczelny publicysta *Kurjera Warszawskiego*, p. Bolesław Koskowski, ubolewa, że sprawa roli masonerji w życiu polskiem jest „wielce ciemna i zagadkowa, ponieważ potrzebnych informacyj o działalności i rozpowszechnieniu masonerji w Polsce nie posiadamy". Dlatego też „ci, którzy tak dużo rzeczy przypisują masonom polskim, opierają się często na domysłach i analogjach, nie mając źródłowych informacyj do rozporządzenia". Również „nieopisany zamęt w pojęciach nietylko ludzi maluczkich, lecz i wybitnych polityków i publicystów" wywołują — zdaniem p. Koskowskiego — dążności ideowe i cele masonerji. O trudności zorjentowania się w tych celach ma świadczyć przykład następujący:

„Weźmy, dajmy na to, przykład niedawno rozegranej sprawy autonomji szkół wyższych. Była to dziedzina, w której masoni wyjątkowo mogli iść ręka w rękę z katolikami i nacjonalistami. W każdym razie, według tego, co się czyta o celach i zadaniach masonerji od paruset lat, obrona wolności myśli i nauczania wydaje się stojącą na jednem z nieostatnich miejsc w ich ideologji, oraz ich planów praktycznych. Tymczasem w końcu roku zeszłego czytaliśmy w jednym z tygodników warszawskich oświadczenie prof. Mieczysława Wolfkego, przemawiającego raczej za ograniczeniem autonomji szkół wyższych. Otóż tenże prof. Wolfke został ogłoszony niedawno w którymś z roczników masońskich, jako mistrz masonerji polskiej. Co kto teraz z takiego galimatjasu zrozumie?"

Przedewszystkiem — sprostowanie. P. Koskowski ma na myśli wywiad, udzielony rok temu przez prof. Wolfkego *Epoce* (nr. 5-ty z dn. 30 października). Wywiad ten został przez p. Koskowskiego oddany nieściśle. Prof. Wolfke stwierdził wówczas co następuje:

„Przeważnie w dyskusjach nad zagadnieniem autonomji szkół wyższych nie rozróżnia się pomiędzy wolnością nauczania profesorów i docentów wyższych uczelni, a niezależnością gospodarczo-prawną samych uczelni. Wolność nauczania zarówno co do wyboru materjału, jak i co do prawa indywidualnego oświetlania danej dziedziny nauki jest zagwarantowana we wszystkich uczelniach zachodniej Europy i u nas też nikt nie ma zamiaru krępowania jej, o ile nie wkracza na tory antypaństwowe".

Dalej mówił prof. Wolfke o różnych formach autonomji gospodarczo-prawnej. Nie było w tym wywiadzie i — oczywiście — być nie mogło ani jednego słowa, sankcjonującego jakiekolwiek ograniczenie wolności nauki.

Zdziwienie p. Koskowskiego, że masoni w „obronie wolności myśli i nauczania" nie poszli razem z... katolikami i nacjonalistami, świadczy istotnie o „nieopisanym zamęcie pojęć" nawet u „wybitnych publicystów". Mimo całą „tajemniczość" masonerji, p. Koskowski odgadł trafnie, że zasada wolności myśli i nauki stoi na „nieostatniem" miejscu jej ideologji. Ściślej mówiąc — na pierwszem miejscu. I stąd właśnie wynika podstawowa *rozbieżność* pomiędzy masonerją a klerykalizmem i nacjonalizmem, które *wywołały* u nas kwestję autonomji wyższych uczelni przez to właśnie, że „wolność myśli i nauki" rozumiały, jako wolność nieodpowiedzialnej demagogji politycznej.

Trudno, zaiste, wyobrazić sobie bardziej cyniczne nadużywanie hasła wolności myśli i wolności nauki, niż w obozach klerykalnych i nacjonalistycznych. To też pisaliśmy w *Epoce* (nr. 10 z dn. 4 grudnia 1932):

„Któż to woła dziś najgłośniej w obronie wolności nauki? Jacy to opiekunowie wolnej myśli naukowej stanęli na rynkach politycznych i biją na alarm? Przyjrzyjmy im się bliżej. Ujrzymy całe czeredy komedjantów z maskami na twarzach, handlarzy partyjnych, demagogów kłamliwych i cyników, którym o całkiem inną sprawę chodzi. Co za widowisko: w obronie wolności nauki stanął żywioł, którego myśl, sposób działania, poziom i charakter przeczy wszystkiemu, co jest dążeniem, ambicją i chwałą nauki. Pomyśleć tylko: zastęp szowinistów, obskurantów, klerykałów — w obronie wolności pracy naukowej! Organizatorzy burd ulicznych, siewcy nienawiści i ciemni wstecznicy, którzy samem swem istnieniem obrażają myśl naukową, wznoszą okrzyki na cześć wolnej wiedzy ludzkiej... Nauka i oni! Dwa przeciwieństwa najkrańcowsze. Dwa bieguny. Na jednym — szlachetna twórczość, postęp świata, budowanie mądrzejszego jutra. Na drugiem — gaszenie świateł, ciemna noc i orgja najniższych instynktów".

Taka oto różnica. Niechże p. Koskowski weźmie tę różnicę pod uwagę i przez to zmniejszy swój „nieopisany zamęt w pojęciach".

R.

PONURA ZABAWA

Prasę codzienną obiegła notatka treści następującej:

„W Kulikowie pod Lwowem, gdzie przed paru dniami stracono na szubienicy bandytę Żółtanieckiego, dzieci kilku tamtejszych kupców żydowskich: Tyrka, Klarfelda, Beka i Grynera zabawiły się w sąd doraźny i w szubienicę. Na rozprawie dzieci wydały wyrok, skazujący na powieszenie 6-letniego synka kupca Tyrka. Małego chłopca powieszono na drabinie.

W ostatniej chwili przed zgonem starsi zdołali zdjąć dziecko z szubienicy. W stanie beznadziejnym przewieziono je do szpitala.

Zabawa dzieci w sąd doraźny i szubienicę, która skończyła się tak tragicznie, wywołała w Kulikowie przygnębiające wrażenie".

No cóż? Dzieci biorą przykład ze starszych. A co robią starsi — wiadomo.

Jedną z przyjemności dzieci jest udawanie starszych. Bawią się — w rodziców, w przełożonych, w sędziów. Tym razem — w sędziów sądu doraźnego. Ten ostatni jest teraz popularny, działa też na wyobraźnię dziecięcą, dyktuje nową „zabawę". Powieszenie 6-letniego chłopca to tylko posunięcie zabawy o jeden krok za daleko. Bez tego kroku wszystko — aresztowanie, śledztwo, rozprawa sądowa, wyrok — byłoby uważane przez starszych za bardzo „wesołe". Tak, jak zabawa w wojsko bez prawdziwego zabijania.

Dzieci w Kulikowie zgrzeszyły brakiem... umiaru. Przeprowadziły „zabawę" do samego końca. Tak, jak starsi, o których też można powiedzieć, że grzeszą — mówiąc spokojnie — brakiem umiaru, zwłaszcza w takich instytucjach, jak sądy doraźne. W notatce prasowej zaznaczono, że zabawa dzieci, która skończyła się tak tragicznie, wywołała w Kulikowie przygnębiające wrażenie. Analogiczna „zabawa" starszych wywołuje wrażenie niemniej przygnębiające.

R.

KODEKS I DZIEDZIC

W tygodniku *Obrona Ludu* zamieszczono sprawozdanie z rozprawy sądowej, która stanowi wymowny dokument naszych czasów.

„Przed kratkami sądowemi w Brześciu Kujawskim stanęli dwaj bezrobotni: Niemczyk Józef, lat 31 i Jabczyński Józef, lat 23, oskarżeni o kradzież grochu wartości... 50 groszy, na szkodę Kazimierza Grodzickiego, właściciela majątku Sokołowo".

Wszyscy oskarżeni znajdują się w najkrańcowszej nędzy. „Pewnego dnia październikowego szli traktem sokołowskim w poszukiwaniu pracy. Przy trakcie rósł groch. Byli głodni! Weszli z brzegu w groch, urwali po kilkanaście strąków i zaraz je zjedli. Wtem nadeszło trzech polowych, którzy zaprowadzili „winowajców" przed groźne oblicze pana dziedzica... Ten okazał się nieczuły na ich prośby i błagania o przebaczenie... Nie pomogło sumitowanie, że z głodu to uczynili. Pan dziedzic nie mógł zrozumieć nędzy ludzkiej i oddał ich w ręce policji brzeskiej, która „wygotowała" (jak mówi procedura sądowa) protokół i raport do Sądu o ukaranie winnych.

Świadek oskarżenia zeznał, że oskarżeni urwane strączki zaraz zjedli, a szkody zrobili na mniej więcej... 50 groszy!...

Sami oskarżeni, w ostatniem słowie prosili Sąd o litość nad ich niedolą.

Jeden z nich ma 6 osób na utrzymaniu.

Sąd Grodzki w osobie sędziego Wesołkowskiego, zważywszy, iż oskarżeni dokonali zaboru strąków z nędzy i na niewielką sumę, postanowił Niemczyka i Jabczyńskiego uniewinnić".

Sędzia Wesołkowski postąpił zgodnie z kodeksem karnym, który daje sądom możność zwolnienia od kary za przywłaszczenie, jeżeli nastąpiło z nędzy i dla natychmiastowego spożycia. Kodeks jest pod tym przynajmniej względem bardziej ludzki, niż sumienie niejednego dziedzica.



REPORTAŻ ANDRÉ MAUROIS

Znakomity pisarz *André Maurois* zwiedził niedawno Stany Zjednoczone. W cyklu reportażowym odsłania obraz nędzy i przesilenia, które utorowały drogę dla śmiałych zarządzeń Roosevelta. Przytaczamy fragment reportażu o bezrobotnych w Chicago:

„Nad jeziorem Michigan światowa „wystawa postępu" otwiera przed przybyszem wesołą perspektywę wielobarwną żółtych, niebieskich i czerwonych budowli. Słońce praży Chicago. Większość zwiedzających atrakcje tej tropikalnej wystawy korzysta z prymitywnych wózków, których siłą pociągową są młodzi ludzie, bezrobotni, studenci, wprzężeni w dyszle.

„Aby poznać życie bezrobotnych, należy opuścić tę odświętną dzielnicę, wymiecioną troskliwie z wszelkich odpadków i śladów nędzy. Gdy Roosevelt obejmował władzę, Chicago liczyło 800 tysięcy pozbawionych pracy. A oto cyfry wzrostu wydatków na bezrobotnych. 1930: pięć miljonów dolarów, dostarczonych przez miejscowych filantropów. 1931: osiem miljonów, zaczerpniętych z tego samego źródła, a zużytych już w kwietniu, wobec czego stan Illinois przychodzi z pomocą 18 miljonów dolarów. 1932: Waszyngton nadesłał 45 miljonów. Jak rozdzielane są zapomogi? Przez zaimprowizowaną organizację, rodzaj dawnych towarzystw miłosierdzia, kierowaną w części przez „ochotników", a w części przez specjalistów „pracy społecznej". Przypuśćmy, że mieszkasz, czytelniku, w Chicago, wydałeś ostatnią monetę i nie widzisz żadnej pomocy poza Oddziałem Zapomóg twojej dzielnicy. Oddział mieści się najprawdopodobniej w gmachu dawnej szkoły z czerwonej cegły, o odpychającym wyglądzie. Kilka stołów, krzeseł i niezliczona ilość szaf z przegrodami. Bezrobotni Włosi, Meksykanie, Polacy, Niemcy, Murzyni oczekują swej kolei. Wielu źle włada angielskim. Przychodzi twoja kolej. Notują twoje nazwisko, adres, zawód, położenie. Tegoż wieczoru, odbitka tych danych powędruje do *clearing house* (centrala wymienna) dla kontroli, czy nie jesteś już wciągnięty w rejestr innej dzielnicy. W spisie figurujesz dwukrotnie, pod nazwiskiem własnem i swego byłego pracodawcy. Jeżeli zażąda on powrotu do pracy swych pracowników, wystarczy list do *clearing house*, a otrzyma natychmiast adresy dawnych pracowników. Gdy zwiedzałem Oddział, nadeszło z towarzystwa kolejowego zapotrzebowanie na tysiąc *Pullman porters* (pracownicy wagons - lits), co spowodowało niesłychaną radość wśród Murzynów.

„Nazajutrz zgłosi się do twojego mieszkania urzędnik dla sprawdzenia twoich danych. Potem, już bez innych formalności, wyznaczają ci liczbę „racyj" stosownie do liczebności rodziny. Żadnych zapomóg w gotówce. Co miesiąc otrzymujesz bony, które przyjmie zarówno sklepikarz, jak piekarz. „Racje" są nawet przykrojone do narodowości. Włoch otrzymuje miesięcznie pięć funtów spaghetti, Niemiec — jeden funt spaghetti, lecz ponadto... kwaśną kapustę. Jeśli jesteś żonaty, opłacą twoje mieszkanie, jeśli jesteś kawalerem, odeślą cię do schroniska.

„Widziałem jedno z tych schronisk. Zainstalowane w pustej fabryce, przypomniało mi żywo improwizowane doraźnie koszary dla zmobilizowanych w 1914 roku rezerwistów. Ten sam zaduch, te same brunatne pledy, ta sama atmosfera przymusowej nudy i bezczynności ludzi, siedzących na łóżkach. Lecz schro-

niska bezrobotnych są bardziej ponure od koszar, ponieważ są koszarami, w których od kilku lat nie wykonano ani jednego ćwiczenia. Jedynie nieliczna garstka spełnia funkcje kucharzy, a „bezrobotni w sztywnych kołnierzykach" zatrudnieni są w buchalterji. Reszta jest wolna po rannym posiłku i obiega miasto w nadziei zarobienia „nikla". Kilku leniwie słucha radja. Jest w schronisku fryzjer. Każdy musi się poddać jego zabiegom, które mają pono zakonserwować *self - respect.* Lecz jakże zachować szacunek dla samego siebie, gdy drąży cię poczucie bezużyteczności? Jeśli masz rodzinę, nie posiadasz żadnego u niej autorytetu, dzieci widzą tylko twoje próżniactwo. Jeśli przekroczyłeś wiek 45 lat, myślisz z lękiem o tem, że nigdy już nie znajdziesz roboty, bo przemysł woli młodych. Cóż tedy pozostaje? Niewątpliwie, nie umrzesz z głodu, masz dach nad głową, łóżko. Lecz czy „karty porcyjne", bezprzedmiotowy rygor — czy to jest życie ludzkie?

...„Czy w środowiskach bezrobotnych nie wybuchają często ruchy rewolucyjne? — zapytywałem. W każdem wielkiem mieście zdarzają się grupy wywrotowe, lecz są one nieliczne... — W jakiej proporcji? — Trudno obliczyć — odpowiada mi młody socjalista, u nas w Chicago na 800 tysięcy bezrobotnych około 40 tysięcy sympatyzuje z akcją wywrotową, a ponad dwa tysiące należy do czynnych bojowników. Wystarczy ta cyfra dla urządzenia od czasu do czasu demonstracji, lecz jest zbyt mała, by demonstracje te traktować serjo. — Czem można wyjaśnić tę bierność klasy robotniczej? — Istnieje wiele przyczyn. Uparta nadzieja osobistego powodzenia... Ostrość represyj (policja jest doskonale uzbrojona, a gazy łzawiące są bardzo skuteczne). Różnice ras, narodowości, języków. Jakże mogą się zrodzić kolektywne uczucia wśród ludzi, którzy często nie rozumieją się wzajemnie lub się nienawidzą? A wreszcie(i to przyczyna najprawdopodobniejsza) niema tu tradycji rewolucyjnej. U was, we Francji, istnieje gotowy przepis robienia rewolucji. Barykady, owładnięcie ratuszem... W Moskwie więziono cara i opanowano gwardję... U nas niewiadomo nawet *gdzie* należy rozpocząć rewolucję? W Waszyngtonie? Lecz to jest miasto urzędowe, a nim nastąpi tam koncentracja rewolucjonistów, rząd zdąży ściągnąć dziesięćkroć silniejszą armję. W New - Yorku? Lecz Middle - West nie uzna przewrotu dokonanego w New - Yorku. W Chicago? Wtedy newjorczycy nie uznają rządu Chicago... Mimo wszystko, jeśli eksperymenty Roosevelta zawiodą"....

„4 lipca, w Dniu Niepodległości, widziałem w New - Yorku manifestację partji socjalistycznej. Około tysiąca słuchaczów, sześciu mówców, czerwone sztandary wokół estrady. „Towarzysze, mówią nam, że Roosevelt jest państwowym socjalistą. Nie wiem, czy to prawda. Lecz wiem, że my, robotnicy, winniśmy z równą zaciętością i oporem zwalczać socjalizm państwowy jak i kapitalizm państwowy. Nie chcemy dyktatury. Chcemy socjalizmu demokratycznego".

„W tym kraju mocniejsze, buntownicze nastroje zaobserwować można raczej wśród rolników, właścicieli ferm, które słownik kryzysu określa jako — kawał ornej ziemi, otoczony z czterech stron wierzycielami i pokryty hipotekami, na którym rodzina, złożona z siedmiu conajmniej osób napróżno stara się zaspokoić potrzeby niezbędnego Forda: zbiornik benzynowy jest stale pusty".

NIE LEGENDA!

Słusznie pisze p. Jussuf w *Wiadomościach Literackich:* „Powtarzanie błędów historycznych jest jedną z najcięższych chorób opinji publicznej. Skutkiem powtarzania „standardized errors", jak je nazywa Stephanson, wyrabia się nietylko fałszywy obraz przeszłości, lecz co gorsza, błędne pojmowanie teraźniejszości. A tych omyłek jest bez liku, począwszy od twierdzenia, że ziemia jest płaska, aż do przestrogi, że nie trzeba pić wody po baraninie".

Po tej słusznej uwadze — niespodziewany przykład: „W ten sposób handel żywym towarem stał się ulubionym tematem nietylko „Tajnych Detektywów" i powieści kryminalnych, lecz sentymentalnych starych panien i nawet Ligi Narodów".

P. Jussuf chce rozwiać rzekomą „legendę o handlu żywym towarem". Czemu sądzi, że to jest „legenda"? Czytamy oto:

„W rzeczywistości, faktów handlu kobietami, wbrew ich woli, jest niesłychanie drobna ilość. Zawsze interesowałem się wielce tą hańbą społeczną, która — gdyby posiadała rozmiary, jakie przypisuje jej fama, — byłaby istotnie największą hańbą naszych czasów. Toteż w r. 1929, podczas kilkotygodniowego pobytu w Hawanie, która, wedle relacji, jest centrum handlu żywym towarem, skorzystałem z uprzejmości don Estebana Martinez, ówczesnego naczelnika służby immigracyjnej oraz długoletniego wysokiego urzędnika policyjnego tego portu, aby nieco przestudjować tę sprawę. Martinez pokazał mi nietylko „dossier" swego urzędu, lecz także swoje prywatne zapiski. Wynikało z nich, że autentycznych faktów handlu żywym towarem, wbrew woli kobiet wchodzących w grę, było jedynie trzynaście w przeciągu dziesięciu lat. W moich wszystkich podróżach poza Europą nie spotkałem się nigdy z wypadkiem sprzedawania kobiet, a w Europie raz jedynie — w Madrycie. Słowem, przekonaniem mojem jest, iż „handel żywym towarem" w przeważającej liczbie wypadków dzieje się za zgodą „towaru", a bardzo często z jego inicjatywy".

Zadziwiające spostrzeżenia i wnioski! Rażąco nieprawdziwe, o czem przekonać się można choćby z nieulegających zakwestjonowaniu, najpoważniejszych dokumentów, zebranych przez specjalną komisję Ligi Narodów. P. Jussuf ujmuje sprawę handlu żywym towarem w szczególny sposób. Za ofiary tego handlu uważa tylko kobiety, które nie wyraziły na to swojej zgody, które pchnięto na tę drogę wbrew ich woli. Pomijamy tu wątpliwość, na podstawie jakich ankiet można wysnuć opinję o ilościowym stosunku dobrowolnego i niedobrowolnego „towaru".

Pogląd p. Jussufa jest wysoce powierzchowny. Ofiarami handlu żywym towarem są nietylko kobiety podstępnie oszukane lub siłą trzymane w domach publicznych, ale i te, które oddały się w ręce handlarzy żywym towarem „dobrowolnie". Bo przecież ta „zgoda" wywołana jest w 99 wypadkach na 100 nędzą, która podpowiada taką „zgodę". Istotnie, handlarze żywym towarem tłomaczą się w sądach, że ich „towar" sam tego chciał, albo i o to prosił... Nie pomniejsza to zbrodni handlarzy. Nie pomniejsza ohydy tego procederu. A co najważniejsza — niedoli ofiar. „Zgodziły się" — ale w jakich warunkach? Jakże można nie brać pod uwagę tych warunków? Ta „dobrowolność" jest z reguły aktem rezy-

gnacji, rozpaczy, nędzy. To tak, jak „dobrowolne" zeznanie katowanego więźnia.

Trzeba nadto zważyć, jaką tu rolę gra nieuświadomienie ofiar handlu żywym towarem, które nie „zgodziłyby się", gdyby wiedziały, co je istotnie czeka.

Uwagi p. Jussufa — to typowe ślizganie się po powierzchni zjawisk, nieprzemyślane, aspołeczne.



»U METY« KAROLA HUBERTA ROSTWOROWSKIEGO W TEATRZE NARODOWYM

Ciężkie, ponure, starogreckie fatum... Straszliwa, bezlitosna Ananke... Mściwa, biblijna klątwa losu, ścigająca dzieci za grzechy ojców...

Taka atmosfera, taki patos i leitmotyw w trylogji dramatycznej o dziejach syna chłopskiego, potem robotnika, potem — profesora, wkońcu — samobójcy. Zawisło nad jego życiem „przekleństwo złego czynu" rodziców - morderców.

Wszystko razem — wielkie nieporozumienie, brak poczucia społecznej rzeczywistości *dzisiejszej*, niepojęta u niepospolitego pisarza naiwność, zapatrzenie w kategorje przeszłości już przezwyciężonej — zarówno w wyobrażeniach mistycznych, jak i przesądach klasowych.

„Tragedja" pochodzenia z ludu przy zetknięciu się z „wyższemi" klasami? Nawet na stanowisku profesora uniwersytetu? Gdzie widać tę tragedję? Była i minęła, rozwiała się, jak wiele innych widm potwornej przeszłości. Odpowiedzialność za winy ojców? I ten ciężar mistyczny został zrzucony z bark współczesnego człowieka.

Gdyby te konflikty, dramaty, nieszczęścia były przesunięte o jakie kilkadziesiąt lat wstecz, sztuka Rostworowskiego na tem tle czasów mogłaby być wstrząsająca i pełna ideowego znaczenia. Ale dziś? Rostworowski nie zauważył teraźniejszości, nie zajął się nią, nie zainteresował... Więc woła głosem najszlachetniejszym, że człowiek odpowiada tylko za siebie, nie za grzechy ojców i że różnice pochodzenia klasowego nie powinny między ludźmi otwierać przepaści... Nie jest to głos wołającego na puszczy, lecz— wprost przeciwnie — rozwalanie drzwi już otwartych. Więc fatalne nieporozumienie, zbędne wzburzenie moralne. Bardzo piękne, bardzo wzniosłe, ale zbędne. I na tem polega tragedja tej tragedji.

Ale są w sztuce Rostworowskiego sceny kapitalne, o wspaniałym geście dramatycznym. Dla tych scen sztukę tę wystawić należało. I dla znakomitych sześciu kreacyj aktorskich: Solskiego. Węgrzyna, Dominiaka, Hnydzińskiego, Znicza i Janeckiej.

»SPRAWA DANTONA« STANISŁAWY PRZYBYSZEWSKIEJ W TEATRZE POLSKIM

Każdy wielki temat historyczny ujmowany jest przez samych historyków w sposób rozmaity, cóż dopiero w twórczości literackiej, której istotą i prawem naczelnem jest przełamywanie rzeczywistości przez pryzmat indywidualności autora. Z wystawionych już w Warszawie utworów dramatycznych Romain-Rollanda i Büchnera wiemy, jak znaczne różnice zachodziły tam w ujęciu postaci Dantona i Robespierre'a.

Lecz indywidualność autora nie oznacza swawoli w traktowaniu rzeczy historycznych, a jego oryginalność nie jest równoznaczna z całkowitem uniezależnieniem się od historycznych dokumentów. Postać Dantona, naszkicowana przez p. Przybyszewską, jest tylko literacką swawolą, która już wszelkie granice przekracza w sylwetce Desmoulins'a, po raz pierwszy w literaturze ukazanego, jako głuptaka. Ale — powiedzmy — że autorka świadomie zerwała z dokumentami, by poprzez takie, a nie inne postacie nowych bohaterów wydobyć wieczyste leitmotywy psychologiczne, społeczne, polityczne, jakie grają w rewolucjach i w tym celu wzięła sobie to i owo — co się tu dobrze dało przeinaczyć — z wielkiej rewolucji francuskiej. Może taki miała zamiar. Pozostawałby w takim razie wysiłek już obowiązujący: dać w samych ramach sztuki — jasny obraz i jasną treść myśli, idei, tez autorki. A tu właśnie wszystko niemal jest tak niejasne, mętne, zamazane, że wogóle nie byłoby wiadomo, o co tu chodzi, gdyby nam nie pomagało trochę wiedzy historycznej. Wciąż sobie podczas przedstawienia dopowiadamy: to a to autorka zmieniła, to a to spaczyła, tu a tu mogła mieć na myśli taką a taką sprawę. Taka „współpraca" widza z autorką tylko nuży i gniewa. Gniewa również w niektórych scenach i djalogach jasnych, wyraźnych, lecz wypełnionych krańcowo prymitywnemi aforyzmami, wywodami, kazaniami. Z tych miejsc drażniąco prymitywnych mogłoby wynikać, że w sztuce p. Przybyszewskiej mamy całkiem już prostacką grę „symbolów": ducha i ciała, myśli i uczucia, rozumu i żywiołu... Tak wypadło: co wyraźne to prymitywne, a co „głębokie" to mętne.

»FIRMA« MARJANA HEMARA W TEATRZE NOWA KOMEDJA

W recenzjach o sztuce p. Hemara zastanawiano się, czy pokazane tu typy należą jeszcze do dnia dzisiejszego, czy do czasów minionych; czy garderobiana Marcysia wiernie charakteryzuje teatr wczorajszy; czy panna Otocka dobrze reprezentuje nowe pokolenie aktorek i t. p. Sądzimy, że recenzenci zadali sobie zbędny trud w swych dociekaniach. Sztuka p. Hemara należy do kategorji tych teatralnych rozrywek, w których bynajmniej nie chodzi o jakieś „prawdy życia". Zapewne autor sam się śmieje z przypisywania mu głębszego zamiaru artystycznego. Kiedyś p. Wacław Grubiński postawił tezę, że w teatrze chodzi tylko o to, *jak* się gra, nie zaś *co* jest do zagrania. Jeżeli autor dał znośną „kanwę", to już wszystko dobrze: aktor wyszyje na tej „kan-

wie" swoje niezawodne wzorki. Teatr, tak zdegradowany do rzędu aktorskiego rzemiosła, ma do rozporządzenia licznych pracowników rzemiosła literackiego. W szeregu tych pracowników p. Hemar zajmuje jedno z miejsc czołowych. Największą zręcznością popisuje się w momentach, kiedy sztuce mogłoby „grozić" psychologiczne lub ideowe pogłębienie tematu. Takie miejsca „niebezpieczne" przeskakuje z rozbrajającą dezynwolturą, podczas skoku darząc publiczkę dowcipami. Żeby się czasem nie zadumała, bo to szkodzi zdrowiu. Chwileczka sentymentu, a zaraz potem — porcyjka śmiechu. W sam raz, w miarę. Trochę smuteczku i trochę humorku. Naprzykład panna Otocka zadaje kupcowi Brandtowi pytanie: „Czy my, aktorzy, jesteśmy wam potrzebni?" Bagatela! Pytanie całkiem poważne. To pytanie zadaje sobie cały świat sztuki i nauki, wszyscy artyści i myśliciele. Czy są potrzebni? Mogłaby się z takiego pytania wywiązać bardzo poważna rozmowa, mogłaby się rozpocząć nawet jakaś wielka „sprawa". Niechże Bóg broni! Niebezpieczeństwo wilczego dołu powagi na drodze zabawy natychmiast ominięte, p. Hemar przeskoczył przez ten „dół" i jeszcze fiknął parę koziołków. Doskonale to robi. Tylko w 3-cim akcie koziołków za mało, więc w porównaniu z pierwszym i drugim gorzej zrobiony. Autor zmęczył się fikaniem.

Naogół — „kanwa" znośna, aktorzy mogą grać. Modzelewska, Jaracz, Dąbrowska, Chmielewski — kwartet pierwszorzędny.

J. W.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

»NAUKA POLSKA«

Tom XVII-ty! Już tom XVII-ty wydawnictwa, które stoi w rzędzie najznakomitszych tego rodzaju wydawnictw na świecie i stanowi wspaniałą manifestację naukowej kultury polskiej.

„Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój" — wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego — to księgi dokumentujące niewygasły entuzjazm ludzi nauki w czasach, kiedy wszystko zdaje się utrudniać ich pracę indywidualną i zbiorową. Ukazywanie się tych tomów to twórczy, budujący sprzeciw, doskonały upór, wzorowy wysiłek — wbrew wszystkiemu.

Każdy tom, niosąc nowe bogactwo myśli naukowej, przegląd zdobyczy ostatnich, rozprawy, referaty, recenzje, ułatwia nam zbliżenie się do świata nauki, od którego jesteśmy przeważnie tak oddaleni. Bo proszę się zastanowić: ile osób wśród naszej inteligencji miało w rękach tomy „Nauki polskiej"? Smutne pytanie. Ale jeszcze smutniejsze: ile osób wie o istnieniu tego znakomitego wydawnictwa?

Tom XVII-ty, jak wszystkie poprzednie, wysoce interesujący, dla przeciętnie inteligentnego czytelnika całkowicie dostępny.

W części pierwszej — cztery rozprawy: Tadeusza Kotarbińskiego „Bacon o przyszłości nauki", Kazimierza Dobrowolskiego „Studja nad kulturą naukową w Polsce do schyłku XVI-go stulecia", Mieczysława Wolfkego „Fizyka i technika", Witolda Jabłońskiego „Kilka uwag o organizacji nauki w Chinach". W części drugiej — niezmiernie cenna, dla wielu rewelacyjna kronika o nowopowstałych w Polsce instytucjach i towarzystwach naukowych i artystycznych, oraz — przegląd ruchu organizacyjno-naukowego w całym kraju. Kronika ta przynosi dobrą ulgę, że przecież — w tylu ośrodkach — wciąż budzi się pożyteczna inicjatywa, dodająca podniety i siły naszemu światu naukowemu. Dalej kronika zagraniczna: 1) ruch organizacyjno-naukowy zagranicą (Stany Zjednoczone A. P., Belgja, Włochy, Niemcy, Estonja, Z. S. R. R.) i 2) głosy w prasie naukowej zagranicznej o roli nauki, wreszcie — recenzje.

„Nauka Polska" redagowana jest w sposób najbardziej celowy: nie wymaga od czytelnika specjalnego przygotowania, daje mu lekturę, która łączy najwyższy poziom z przystępnością. Pod tym zwłaszcza względem wydawnictwo jest wzorowe. Naprzykład „Głosy w prasie naukowej zagranicznej o roli nauki" dają doskonale wyrazisty i krytyczny przegląd krążących dziś opinji o roli nauki. Oto szereg zagadnień: wpływ nauki na różne dziedziny życia, skutki rozwoju techniki, stosowanie metod w życiu państwowem, czynny udział uczonych w życiu społecznem, popularyzacja nauki, nauka i przemysł, nauka czysta a stosowana. Na te tematy rozmawiamy często, a niemal zawsze — swawolnie, nieodpowiedzialnie. Niezawsze można sięgnąć do źródeł, do dzieł, tym zagadnieniom poświęconych; pierwszorzędne sprawozdania „Nauki Polskiej" pozwalają nam sprawdzić nasze zdawkowe sądy i opinje w tej dziedzinie, sprawdzić, a więc — zmienić lub pogłębić.

Jest to wydawnictwo z konieczności drogie, trzeba je tedy nabywać zbiorowo. W każdem zrzeszeniu, które posiada bibljotekę i czytelnię tomy „Nauki polskiej" znaleźć się powinny.

M. Czarnowski

PRZEKRÓJ PSYCHOLOGICZNY AMERYKI

Dzieła naszej literatury pod względem konstrukcji ustępują z reguły zagranicznym. Któryś z krytyków pisał kiedyś na nasze pocieszenie, że podobnie jak niema kobiety zbudowanej bez zarzutu — niema również idealnie skonstruowanego dzieła sztuki. Mam wrażenie, że krytyk ów i co do kobiet i co do dzieł literackich zbyt daleko zabrnął w pesymizmie i w obronie literatury ojczystej... W literaturze odbijają się cechy narodowe i nic dziwnego, że naród uczuciowców, którym brak konsekwencji w życiu prywatnem i publicznem, wydaje dzieła piękne, rozlewne, ale źle skonstruowane. Góruje nad nami pod tym względem racjonalista Francuz, flegmatyczny Anglik i konsekwentny, silny Amerykanin.

W przekładzie polskim ukazała się powieść amerykańska Louis Bromfielda: „Dwadzieścia cztery godziny".*) W powieści tej uderza przedewszystkiem świetna budowa. Akcja zaczyna się od opisu pewnego nieudałego przyjęcia u starego, złośliwego Hektora Championa.

Na dwudziestem piętrze new-yorskiego drapacza chmur proszony obiad ciągnie się bez końca w atmosferze sztucznej i przygnębiającej, bo stary złośliwiec naumyślnie zgromadził osoby, które nie mogą czuć się ze sobą dobrze i swobodnie... Nareszcie obiad się kończy i towarzystwo rozchodzi się grupa-

*) *Louis Bromfield:* Dwadzieścia cztery godziny. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1933 r.

mi lub pojedyńczo. Na dworze szaleje śnieżna burza — New - York pochłania biesiadników...

W tem miejscu zaczyna się druga część powieści. Autor prowadzi nas z każdym uczestnikiem obiadu w inną część miasta - molocha. Akcja rozpryskuje się i rozgałęzia w powikłania, pozornie nie mające ze sobą wiele wspólnego. Każda z przedstawionych osób żyje teraz swem oddzielnem życiem. Multi - miljoner Melbourn odwozi swą kochankę Fanny do domu, znudzony już nią w zupełności... Jim Towner — mąż Fanny — kompletnie pijany idzie do nocnego kabaretu, by spotkać swą kochankę - śpiewaczkę Rosie Dungan. Tutaj autor wprowadza nas w świat mętów new-yorskich, mężem bowiem śpiewaczki jest bandyta Tonio Sycylijczyk, namiętny południowiec, narkoman i idealny kochanek...

Na Melbourna czeka samotnie pani Wintringham — młoda wdowa, prawdziwa Amerykanka — kobieta silna wolą i opanowana...

Filip Dantry, siostrzeniec Hektora, przeżywa tę noc z aktorką Janie Fagan, którą nazajutrz poślubia.

Myśl starych — Hektora Championa i Saviny Jerold — krąży nad przeszłością, skupiając się przeważnie na siostrze Hektora, Nancy, która dwadzieścia pięć lat temu uciekła z Patrykiem Dantry do Europy i nazajutrz ma się zjawić w New - Yorku ze swym mężem, sir Johnem Elsmore.

Nad zdarzeniami tej części powieści unosi się noc i śnieżna zawieja, wśród której utykają auta i grzęzną tramwaje. Nocy tej popełniono dwa morderstwa. Jednego i drugiego dokonał Tonio Sycylijczyk. Ofiarą jego padł naprzód członek konkurencyjnej bandy, a potem Rosie Dungan. Tonio udusił ją z zazdrości o Jima Townera, który w tym czasie spał snem pijaka w sąsiednim pokoju.

Następuje ostatnia — trzecia część powieści. Wszystkie rozstrzelone zdarzenia teraz się skupiają, ogniskują i zazębiają jedno o drugie, zmierzając szybko ku końcowi.

W ramach tej akcji, umyślnie skondensowanej do jednej doby, autor dokonał nielada sztuki, przedstawił bowiem w przekroju psychologję współczesnych Amerykanów od multi-miljonera aż po męty społeczne.

„Dwadzieścia cztery godziny" nie jest powieścią awanturniczą, jakby można sądzić z krótkiego streszczenia. Bromfield prześwietla psychologję każdej z występujących osób, docierając do dna ich indywidualności. Uderza przytem typowo epiczny stosunek powieściopisarza do osób działających. Autor nie uosabia się z żadnym ze swych bohaterów, stoi ponad nimi. Przypatruje się każdemu z uczuciem uczonego, pragnącego poznać motywy działań człowieka. Nie ciska gromów moralnych, jak nie roztkliwia się nad cnotą, czem tak bardzo różni się od liryczno-histerycznych wybuchów wielu naszych pisarzy.

Jan Waśniewski

»B R U N A T N A K S I Ę G A«

„Brunatna księga o podpaleniu Reichstagu i o terrorze hitlerowskim" jest dużych rozmiarów publikacją, liczącą blisko 400 stron, wydaną w Bazylei przez „Universum-Bücherei".

„Księga" rozpoczyna się zwięzłem przypomnieniem genezy i rozwoju partji narodowo-socjalistycznej i omawia kolejno — statut niemieckiej partji robotniczej, ułożony przez szewca Drexlera, założenie N. S. D. A. P., 25 punktów programu partyjnego, pucz roku 1923 i skazanie Hitlera na karę twierdzy, bezwład partji w latach ożywienia gospodarczego i wzrost jej wpływów w okresie kryzysu.

Ten zarys historyczny pozwala zrozumieć podłoże zwycięstwa ruchu nazi. Zwięzła analiza sytuacji gospodarczej i wpływu kryzysu na położenie klas średnich, obnaża grunt, na jakim formowały się wypadki od r. 1930 do 1932.

Trzonem „Księgi brunatnej" jest materjał, dotyczący podpalenia Reichstagu, obwarowany dokumentami o dobitnej wymowie.

„Księga" przypomina, że wzrastające nastroje antyfaszystowskie wśród mas robotniczych stawiały pod znakiem zapytania wyborcze szanse Hitlera. Hugenberg i narodowo-niemieccy zajmowali naczelne miejsca w rządzie. Znaczny odłam narodu zaczynał pojmować, że Hitler uprawia politykę wielkich kapitalistów. Rozczarowanie opinji ujawniło się w wynikach wyborów dnia 5 maja. Zagrażał wzrost głosów komunistycznych. Przywódcy narodowo - socjalistyczni stanęli przed koniecznością naprawy swej sytuacji, co chcieli osiągnąć przez zakrojoną na wielką skalę prowokację.

Goebbels przygotował jej plan. Goering, przewodniczący Reichstagu i naczelnik policji pruskiej, był wykonawcą. Plan przewidywał marsz wszystkich oddziałów S. A. na Berlin w nocy z 5 na 6 maja. Groźba kontr-marszu Reichswehry zmusiła nazi'ch do wyrzeczenia się pochodu berlińskiego.

Potworna prowokacja była narzędziem zawładnięcia całkowitej władzy i rozpętania nieskrępowanego terroru „szturmowego". Prezydent policji (narodowo-niemiecki) w Berlinie, dr. Melcher, został wysłany do Magdeburga. Jego miejsce zajął narodowy-socjalista, von Levetzow. 24-go lutego nastąpiła rewizja w Domu Karola Liebknechta, siedzibie centralnego komitetu niemieckiej partji komunistycznej. Dom obsadzono policją. Ujawniono „wysoce kompromitujące dokumenty". W przeddzień pożaru prasa przepełniona była rewelacjami o „tajemnicach" Domu Liebknechta, o podziemnych przejściach, o „dokumentach zdrady" etc... Tegoż dnia prasa doniosła o zamachu komunistycznym na kolej w Prusach Wschodnich. 25 lutego pożar Pałacu Berlińskiego został przedstawiony jako dowód działalności komunistów. Urabiano opinję..

Jak podaje „Brunatna Księga", partja komunistyczna dowiedziała się z wiarogodnego źródła o przygotowywanej przez rząd prowokacji. Poseł Wilhelm Pieck mówił w Pałacu Sportowym o ewentualnej symulacji zamachu na Hitlera, albo jakiejkolwiek innej prowokacji, która pozwoliłaby rządowi wzbronienie działalności partji na kilka dni przed wyborami. Analogiczne oświadczenie złożyła frakcja posłów komunistycznych na specjalnie zwołanej konferencji prasy zagranicznej. Prasa hitlerowska prowadziła nagankę na działaczy robotniczych. Atmosfera stawała się coraz bardziej gorączkowa, podniecenie wzrastało.

I oto w nocy z 27 na 28 lutego wszystkie radjostacje Rzeszy nadały alarmującą wieść: „Reichstag płonie!".

„Księga" poświęca oddzielny rozdział osobie van der Luebbe, holenderskiego pseudo-komunisty — podpalacza. Śledztwo przeprowadzone w Holandji

i w Niemczech pozwala odmalować interesujący portret van der Luebbe. Aresztowanie van der Luebbe w płonącym gmachu Reichstagu, jego bezpośrednie zeznania, umożliwiły rządowi rozpętać pogrom przeciw socjalistom, komunistom i Żydom. Kim jest van der Luebbe? Urodził się w Lejdzie, roku 1909, jako syn domokrążcy. Siedmioro dzieci, z których Marinus był najmłodszy, wychowywała matka. Ojciec był pijakiem. Rodzina żyła w nędzy, rychło zresztą ciężar wyżywienia spoczął wyłącznie na matce. Ojciec uciekł. Dzieci pozbawione były wszelkiej opieki. Marinus liczy 11 lat, gdy umarła mu matka. Przyjmuje go do swego domu siostra przyrodnia, która stara się wychować Marinusa w duchu religijnym. Marinus marzy o tem, by zostać pastorem. W szkole odznaczał się ambicją chorobliwą, żądzą wyróżnienia się. Jako sprzedawca w domu handlowym rozpowiada wszystkim wokół o swojem pragnieniu sławy. Jako 16-letni młodzieniec wstępuje w szeregi młodzieży komunistycznej w Lejdzie. Żąda odpowiedniego stanowiska. Spotyka się z odmową. Występuje z partji. Wraca jednak czterokrotnie, a za każdym razem wystąpienie powodowała odmowa powierzenia mu kierowniczego stanowiska. Wędruje z miasta do miasta. Uprawia różne zawody. W roku 1929 pisze do partji: „Nie jestem i nie będę nigdy bolszewikiem. Czuję się zupełnie obcy partji". W r. 1930 van der Luebbe udaje się do Calais, a po powrocie do Holandji chwali się — przebyciem wpław kanału la Manche. W Lejdzie mieszka w domu, znanym z mieszkańców — homoseksualistów. Wiele danych przemawia za homoseksualizmem van der Luebbe. Marinus wyrusza w podróż. Rozsprzedaje po drodze karty pocztowe, za co nakładają nań grzywnę w miejscowości Gronau. Nazi wykorzystają to zdarzenie, przedstawiając je jako karę za kolportaż ulotek komunistycznych.

Przypadek zetknął Marimusa z dr. Bellem, wpływowym członkiem partji hitlerowskiej i dostawcą młodych chłopców dla homoseksualisty kap. Roehma. W kwietniu 1933 r. po ucieczce z Monachjum dr. Bell przygotowywał sensacyjne rewelacje o nazi. Zanim zdążył je ogłosić, został zamordowany przez S. A.

Pożar Reichstagu odkryto o godz. 21.15. Aresztowania rozpoczęły się po północy. Wszystkie nakazy policyjne zaopatrzone były w fotografje. Daty były wypełnione atramentem. Uwięziono w Berlinie okoko 1500 osób. Czyż można w ciągu trzech godzin wypełnić 1500 nakazów aresztowania i zaopatrzeć w fotografje? Nakazy te były przygotowane na kilka dni przed pożarem Reichstagu. 27 lutego wszystkie już były wypełnione i podpisane.

27 lutego, z nakazu Goeringa, „zasilono" policję pomocniczą strażą „szturmowych bojowców". Od południa wszystkie oddziały S. A. skonsygnowane były w koszarach. O godz. 10-tej szturmówki otrzymały rozkaz wyruszenia w kierunku płonącego Reichstagu. Przywódca grup berlińskich, Ernst, rozesłał o godz. 10-tej do wszystkich dzielnic miasta ludzi z wieścią o podpaleniu Reichstagu przez komunistów, o przychwyceniu Holendra na gorącym uczynku i o tem, że poseł Torgler opuścił ostatni gmach Reichstagu. Ernst rozesłał tę wieść — w niespełna godzinę po ujawnieniu pożaru.

27 lutego przywódcy nazi są w Berlinie. Pomimo walki wyborczej, która trwa w pełni — Hitler, Goebbels, Goering są w Berlinie i nie biorą udziału w kampanji. W Reichstagu zjawia się Goering, potem Hitler i Goebbels, oraz berliński korespondent *Daily Express*, jednego z nielicznych pism angielskich, sprzyjających Hitlerowi. Korespondent opisał scenę, która rozegrała się 20—30 minut po odkryciu pożaru. Hitler zwrócił się na miejscu wypadku do vicekanclerza v. Papena: „To jest znak Boży. Nic nie przeszkodzi nam teraz wytrzebić komunistów żelazną ręką", a zwracając się do korespondenta angielskiego, dodał: „Jest pan świadkiem nowej i wielkiej epoki w dziejach Niemiec. Oto jej początek". W chwili, gdy Hitler wygłaszał te słowa, wina komunistów nie była jeszcze „ustalona".

Materjał, przytoczony przez „Brunatną Księgę", okazał się ścisły w świetle opinji sądu, odbytego przez międzynarodową komisję prawników w Londynie, która stwierdziła całkowitą niewinność oskarżonych o podpalenie Reichstagu.

R. Oborski

DROGI HISTORJI

(Dokończenie).

Materjalistyczne stanowisko przejawia się i w zagadnieniach pozornie b. dalekich i oderwanych. Tak np. w próbie charakterystyki unij dynastycznych w średniowieczu (Halodan Koht, Oslo) wyraźnie zaznacza się wpływ teorji walki klas i koncepcji państwa narodowego, jako towaru burżuazji. Podobnież— niespodziewanie i bodaj wbrew woli autora—uderza nas wpływ tejże teorji w sacrosanctum idealizmu historycznego: w historji kościoła, w ujęciu konfliktu między chrystjanizmem a państwem starożytnem i dziejów ich syntezy, jako funkcji przewrotu ekonomicznego i przeciwieństw społecznych (K. Zakrzewski, Lwów — „La cité chrétienne"). W prehistorji determinizm wypiera koncepcje idealistyczne— geobiologja i geopolityka coraz wyraźniej stają się kośćcem badań syntetycznych (W. Unverzagt, Berlin — „Neue Ziele deutscher Bodenforschung").

W rezultacie materjalizm historyczny stał się przedmiotem najbardziej ożywionych dyskusyj teoretycznych. Brakło wprawdzie Bucharina i Łunaczarskiego, głównych referentów zagadnienia, nie przybył najwybitniejszy bodaj ich przeciwnik W. Keilhau, umysł oryginalny i głęboki, ale dyskusja wciąż zbaczała, wciąż nawiązywała do tego palącego konfliktu ideowego, punktu zbieżnego głównych prądów współczesnych nauk historycznych. Atak rozpoczął prof. Fred Morrow Fling, Lincoln U.S.A., jeden z najwybitniejszych amerykańskich badaczów rewolucji francuskiej, zaprzeczając historji praw rozwojowych, zaprzeczając jej związku z socjologją. Socjologja bowiem — zdaniem p. Flinga — rysuje procesy i prawa, dezindywidualizując fakty: historja bada fakty w ich zmienności indywidualnej. Tworząc ich syntezę, bada nie prawa, nie procesy, lecz postęp systemu wartości, stanowiących istotę danego okresu. Postęp, czyli „uduchawianie" (Vergeistlichung — określenie, użyte w referacie) systemu wartości, rządzących życiem ludzkości. Temsamem więc zadaniem historyka jest sublimowanie syntezy faktów historycznych, sublimowanie aż do osiągnięcia systemu duchowych wartości pozahistorycznych. Taka synteza nie będzie — wg. p. Flinga — ani katolicka, ani protestancka, ani faszystowska, ani komunistyczna — będzie syntezą par excellence: dla p. Flinga

system tych wartości pozahistorycznych stanowi wielkość bezwzględną, objektywną. Referat (najzupełniej w stylu „idealizmu" amerykańskiego z jego charakterystyczną, ostentacyjną wiarą w „postęp" i absolutny objektywizm rządzącego systemu wartości) nie stał na zbyt wysokim poziomie, a i bezowocna dyskusja robiła czasem wrażenie rozpraw w kole młodzieży gimnazjalnej, z powagą i zapałem odkrywających mocno już zmurszałe Ameryki. Odpór zresztą dać było nietrudno. Krótkie zdanie jednego z historyków angielskich: — „Tyle syntez, ilu historyków" — najdobitniej bodaj uderzyło w samozłudzenia p. Flinga. C. Bloch, pragnąc uratować naukowość, t. j. objektywizm syntezy historycznej, wskazał właśnie na prawa socjologiczne jako nieodzowny, objektywizujący element konstruktywny, ale... w gruncie rzeczy poszedł po tejsamej drodze naiwnej wiary, co p. Fling, zapominając poprostu o subjektywizmie samych koncepcyj socjologicznych. Zresztą sama praktyka naukowa mogłaby odpowiedzieć p. Flingowi, wskazując na rosnącą liczbę badań historycznych, graniczących z socjologją — czy to w dziedzinie geografji historycznej (J. M. Tourneur — Aumont, Poitiers — „Variations anciennes et modernes de l'idée de frontière"), czy historji społecznej (R. Maunier — „Le contact des peuples dans le colonies"), czy też historji kultury (ogromnie ciekawy referat prof. Stefana Hajnal'a, Budapest „Schriftlichkeit und Intelligenzschicht als Wegbreiter der Neuzeit").

Główna batalja, w której wybitny udział wzięli historycy sowieccy, rozegrała się po referacie prof. H. Berra o syntezie historycznej. Po referacie — piszemy — bo osią dyskusji był nietyle (dosyć bezbarwny) referat Berra, ile idee nieobecnego na kongresie Wilhelma Keilhau'a (résumé p. t. „Historischer Materialismus oder historische Synthese?"), jedyne na kongresie idee pozytywne w krytyce marksizmu.

Keilhau śmiało i zdecydowanie podnosi sztandar idealizmu. Idealizmu nie w sensie metafizycznym, teologicznym, jak Fling, lecz idealizmu, który zatrzymuje się u granic immanentnych czynników historji. Według Keilhau'a gospodarcza sfera życia ludzkiego nie jest systemem zamkniętym (widocznie, wg. niego tylko taki system mógłby się ubiegać o absolutny prymat genetyczny) — wręcz przeciwnie — „każdy popęd produkcyjny (Produktionstrieb) został stworzony z idei. Każda polityka ekonomiczna ma swe początkowe źródła w pewnych ideach gospodarczych". (Nietrudno dowieść błędności tego założenia i to właśnie na przykładach przytaczanych przez autora, nie tu jednak miejsce na polemikę). „Nawet marxizm jest ...kompleksem idej z dziedziny gospodarczej, które to idee częściowo mają źródło nieekonomiczne w filozofji Hegla". Zdawałoby się, że tutaj krytyk się zatrzyma i — jak niegdyś np. Lorenz — w przemianach idej będzie szukał źródła przemian historycznych. Ale to, co mogło wystarczać w okresie, który nazwaliśmy okresem „liberalizmu historycznego", nie wystarcza. W okresie panowania idej „gospodarki planowej", uczony nie zadawala się krytyką negatywną i nie odrzuca zasadniczej idei marxizmu o „planowości" zjawisk dziejowych, uznając je za fenomeny praw ogólnych. Keilhau, mimo swego idealizmu, dąży do wyjścia poza granicę oderwanej spekulacji. Więcej — oskarża o nią marksizm i w metrykach historjografji zapisuje go, jako nieprawe dziecko epoki konfliktu między materjalizmem i idealizmem filozoficznym. Keilhau chce swą syntezę budować nie na antytezach filozoficznych, lecz na obserwacji możliwie konkretnego, możliwie (chciałoby się powiedzieć) przyrodniczego materjału konstruktywnego historji. Nawraca tedy do człowieka — punktu przecięcia materji i idei — do psychiki ludzkiej. Czynność ludzka, to istota faktu historycznego. A więc fakt historyczny, to wyraz psychiki człowieka, wyraz dążenia do zaspokojenia jego popędów. Działalność gospodarcza jest tylko jednym ze środków do zaspokojenia popędów, a więc czynnikiem wtórnym: „prasiły rozwoju historycznego odnajdujemy w popędach ludzkich". Barwna gra historycznych przejawów tych popędów, ujęta w całość, której schemat konstruktywny daje nam złożona psychika człowieka, stwarza „sagę całej istoty ludzkiej" — syntezę historyczną — korollarjum twórczości historyka. A więc sui generis freuidyzm, transponowany na całość zjawisk społecznych? A więc humanizm — reakcja indywidualistyczna? Próba rehabilitacji człowieka — choćby nawet nie woli ludzkiej — wobec miażdżącego naporu olbrzymich sił żywiołowych? Raczej — buntowniczy sprzeciw intelektu? I jedno i drugie i trzecie.

Niewygłoszony referat Keilhau'a stał się osią dyskusji. Zamiast polemizować z frazeologją Flinga, z anemicznemi wywodami Berra, zalecającego syntezę, jako lekarstwo na wszelkie dolegliwości naukowe, historycy sowieccy (Wołgin, Łukin), uderzyli w idee Keilhau'a. Uderzyli? — właściwie mówiąc, uznali je za niewdzięczne dzieci marksizmu i właśnie na jego dobro je anektowali, odgraniczając zarazem marksizm zarówno od spekulacji racjonalistycznej, jak i od wulgarnego panekonomizmu na rzecz biologicznego ujęcia zjawisk dziejowych. Temsamem więc wciąga się je w zakres badania nietylko, jako przejawy sił produkcyjnych, ale — między innemi — jako przejawy wyrastających na ich gruncie popędów psychiki ludzkiej. Materjalizm historyczny nie odrzuca bynajmniej współdziałania elementów różnych kategoryj, ale elementy te sprowadza do funkcyj życia gospodarczego.

Rzecz prosta, argumenty te nie wypełniają przepaści między idealizmem a materjalizmem i nie o to chodziło uczonym sowieckim, lecz o wykazanie możliwości marksizmu. Bili oni raczej w sam punkt idei syntezy, podnosząc, że marksizm jest dziś jedyną teorją naukową i metodą czynu zarazem, która w całość nierozerwalną, organicznie zespoloną i harmonijną sprzęga całość przejawów życia ludzkiego i całość nauk humanistycznych, a przekraczając ich granice, sięga w dziedzinę przyrody i nauk ścisłych, stawiając przed ludzkością perspektywy syntezy uniwersalnej. Synteza Keilhau'a, Berra, czy Flinga nie stanowi czynnika biologicznego — materjalizm djalektyczny sprzęga myśl i czyn, zaspakaja potrzebę czynu i śmiało stawia prognozy — daje to, czego świat dzisiaj żąda od nauk historycznych.

Oto zagadnienia, którym poświęcono najżywszą uwagę na Międzynarodowym Kongresie Nauk Historycznych.

Dr. Marek Wajsblum

REPORTAŻ Z WIĘZIENIA

MOJE PRZYJEMNOŚCI W »POJEDYNCE«

Rano, po zamieceniu celi, wyciągam się na mojem, trochę przytwardem łożu. Leżę sobie na boku, palę papierosa i rozmyślam sobie o tem i o owem. Po pewnym czasie bok, naskutek braku dostatniej ściółki, zaczyna trochę boleć; — przewracam się więc na drugi. Gdy ten po kwadransie na swój sposób protestuje — kładę się nawznak. Jakiś czas jest bardzo miło, przychodzą do głowy jakieś wesołe, przyjemne myśli. Zachciało się zapalić drugiego papierosa. Ale papieros z machorki ma to do siebie, że przy paleniu co minuta wypada z niego rozżarzony węgielek, wielkości dużego ziarnka pszenicy. W łóżku więc można to palić tylko, na boku leżąc i wychylając się trochę nad podłogę. Kładę się więc znów na ten pierwszy, jeszcze niewypoczęty bok. Po chwili też czuję dotkliwy ból w żebrach; cierpnie mi noga i ręka... Kończę szybko papierosa i wyskakuję z łoża, wyprężam nogi i ręce, robię parę ruchów gimnastycznych i zaczynam przechadzać się po celi. Trudno poprostu opisać, jak to przyjemnie, po niewygodnem leżeniu, rozprostować członki i trochę pochodzić...

Chodzenie po celi, która ma około 5 metrów długości, nie jest czemś zbytnio zajmującem. Dla urozmaicenia człowiek sobie zadaje różne wyczyny sportowe. Ot np. spacer ma wynieść koniecznie 2 kilometry drogi. Przy braku pedametru, rachunek prowadzę sposobem domowym. Kurs od okna do drzwi i z powrotem wynosi 10 metrów; 200 takich kursów stanowi 2 kilometry. Żeby się rachunek, broń Boże, nie pomylił, po każdych 10 kursach, kładę na stół wyjętą z kieszeni zapałkę. Ścisłość obliczenia wypada, jak na olimpjadzie. Chodzę początkowo poprostu z rozkoszą. Krok równy, szybki, miarowy. Muskuły w nogach twardnieją, jak napięte, potężne sprężyny. Czuję, jak się poruszają i drgają w tem miłem napięciu. W całem ciele powstaje poczucie siły i tężyzny. Kilometr przechodzę niepostrzeżenie. Już 12... 14... 15 zapałek leży na stole. Ale robi się już jakoś mniej przyjemnie. Serce trochę za mocno bije, oddech robi się nierówny... Już leży 17... 18 zapałek. Z przyjemnością myślę, że już tylko 2-ch brak. Jeszcze 200 metrów. Wtem łapię siebie na pomyłce w liczeniu do dziesięciu. Mówię 7, a wydaje mi się, że w 19-ej serji zrobiłem tylko 5 kursów. Rozzłoszczony na dobre, robię 3 kursy „karne" i całą uwagę skupiam na liczeniu. W nogach odczuwam jakieś chorobliwe dygotanie. Oddycham jak astmatyk! Jakiś głos wewnętrzny zaczyna kusić: „Idjoto! Po jakiego djabła się tak męczysz? Usiądź, warjacie, albo postój trochę". Już prawie ulegam... Ale nie! Przecież już tylko 120 metrów zostało. Zamiast spocząć — przyspieszam kroku. ...Nareszcie położona 19-ta zapałka. Dla pewności, mijając stół, układam je: Trzy kupki po 5, w czwartej dopiero 4. Dalej! Idąc od okna do drzwi, głośno wymawiam, który kurs robię, z powrotem — mówię sobie wiele jeszcze zostało. Jeszcze siedem! 2 — i 5. Już teraz coraz bliżej końca. Nareszcie już tylko 3 kursy. Już tylko 2. Nareszcie już tylko 1. Ostatnie 10 metrów robię, słaniając się na nogach i wreszcie z rozkoszą rzucam się na łóżko. Cóż to za przyjemność po takiej dreptaninie po celi, wyciągnąć na pościeli, choćby bardzo nawet twardej, i ułożyć wygodnie przemęczone gnaty.

INNE PRZYJEMNOŚCI

Kryminał daje jeszcze inne przyjemności. Ot, naprzykład, ze znanych tylko administracji przyczyn, opóźnia się t. zw. „wypiska". Wyraz ten, jak wiele innych moskiewskich, zrósł się widać z murami polskich wyzwolonych więzień. „Wypiska" jest to, przypadający z reguły koło 1-go i 15-go każdego miesiąca, dzień dostarczenia więźniom produktów, sprowadzanych z miasta za ich własne pieniądze i na ich prośbę. Często tak się zdarza, że ten dzień się parę dni opóźnia i wtedy chwila ta staje się gorączkowo, namiętnie oczekiwaną... Braknie bowiem palenia i tłuszczów.

Czekałem raz 7 dni!

Niema co palić... Ostatnie racje machorki dzieli się na nieprawdopodobnie cienkie papierosy. Pali się je w jaknajdłuższych odstępach czasu. Wygrzebuje się z kątów niedopałki, wytrzepuje z kieszeni tytoniowe śmiecie. Wreszcie dosypuje się do resztek tytoniu — herbaty. Odurza to bardzo i jest już zupełnie obrzydliwe. Wkońcu niema już idealnie nic, z czegoby się dało skręcić papierosa. Ale w takim zazwyczaj momencie przychodzi właśnie wiadomość, że za jakie 10—12 godzin już napewno będzie rozdana „wypiska". I oto zamiast męki nieukojonego nałogu, wykwita w całem jestestwie człowieka radość, że już tylko za tyle a tyle godzin będzie mógł sobie skręcić jaknajgrubszego papierosa i całą piersią zaciągnąć się dymem. Ostatnie godziny cieszy się człowiek poprostu jak warjat! Wreszcie nadchodzi wytęskniona chwila...

Organizm nasz wymaga widać troszkę więcej tłuszczów, aniżeli to przewiduje odnośny okólnik Min. Sprawiedliwości o wyżywieniu więźniów. Bo choć się zje przepisany litr zupy na obiad i skóra na brzuchu przypomina stary bęben, — tkwi w człowieku nasyconym coś, jakby drugi jeszcze głód. Jest to głód tłuszczu. Jak się więc „wypiska" opóźni, zaczyna on człeka męczyć. We snach się wtedy widuje jakieś kolosalne szynki, zwoje kiełbas, połcie potworne i kadzie całe skwarków.

Wreszcie z „wypiski" dostaje się cały kilogram tłustego boczku! Gdybym miał dobre zęby, ugryzłbym kawał po drodze, wracając do celi. Gdy go wreszcie krają, coś poprostu drga i zamiera we mnie... Pierwszy duży kawał w gębie, tłustość rozkoszna rozpływa się... Nie!!! Tej rozkoszy niepodobna opisać. Tak żarł zapewne nasz praojciec — troglodyta i napewno doznawane uczucia określał, jako pełnię swego, zwierzęcego jeszcze, szczęścia.

MŁYNEK

Więzienie nasze składa się z kilku budynków. Główny budynek, w którym siedzę, jak mówią, pamięta czasy Sejmu Czteroletniego, a może dawniejsze. I już wtedy był więzieniem. Wskazują na jego lata gdzieniegdzie krzyżowe sklepienia i okropnie małe okienka pojedynek. W wysokich suterynach są jakieś składy i magazyny; nad niemi parter, a nad tem 2 piętra. 120 cel na trzech piętrach. Każda więc ze stron długich olbrzymiego, wydłużonego prostokąta ma 20 cel, gdyż ściany poprzeczne mają tylko potrójne okna. Na parterze jest wielki hall z 40 drzwiami do cel, wylany cementem. Na I i II piętrze dookoła ścian biegną, przylepione jak balkony, wąs-

kie galerje, metrowej najwyżej szerokości z podłogą z ażurowych żelaznych płyt, z obramowaniem balustrady, sięgającej na I piętrze metra, na II-em 2-ch metrów wysokości. Te obramowania galeryj zrobione są z calowych żelaznych prętów, 15—20 centymetrów, jeden od drugiego wetkniętych. W połowie swej długości galerje połączone są na każdem piętrze poprzecznemi szerokiemi mostami, również z ażurowego żelaza i okolone prętami. Czyli cały budynek: to olbrzymia, podłużna dziura, oblepiona celami, przybrana pajęczyną z prętów żelaznych.

Wieczorem kazano mi się przenieść z parterowej celi na najwyższe piętro. Idę więc na górę. Cały budynek tonie w czerwonawej mgle. Wszystkie cele już pozamykane — ludzie śpią. Pusto. Od moich kroków klekoczą najbliższe pręty mostów i galeryj. Spojrzałem na dół i dookoła. Zakręciło mi się we łbie i wydało mi się, że ta cała, w krwawą mgłę spowita, plątanina niezliczonych żelaznych prętów — to jakaś potworna, olbrzymia machina. Jakiś młyn cudaczny, który zaraz, za chwilę z ponurym brzękiem, jazgotem i zgrzytaniem tej masy żelaziwa, ruszy i zacznie się obracać dokoła jakiejś osi — powoli zrazu, potem coraz prędzej i prędzej. Młynek djabelski do mielenia grzeszników gdzieś w przepastnych czeluściach piekieł!

Przymknąłem oczy, coś w uszach zaszumiało i wydało mi się, że ten młynek puszczono w ruch. Rozległy się rozdzierające ludzkie wrzaski i wycia... z pomiędzy prętów zaczynają wylatywać, jak źle nasypane do młynka, ziarnka kawy — poobrywane, okrwawione ludzkie głowy, ręce, nogi, kawały mięsa... za chwilę ścichły wrzaski i jęki, tylko w uszach dzwonił klekot i łoskot żelastwa i straszne sapanie ciężko pracującej maszyny... Przeszło chwil kilka... I przysiągłbym, że widzę, jak oto z jakiegoś otworu na cement podłogi rzygnęła szeroko struga bardzo gęstej, nieruchawej cieczy. Ciecz brunatna, mieszanina mielonego mięsa ludzkiego i gnatów. Powoli to skądś rozpływa się po dnie okropnej machiny...

Wtem wzdrygnąłem się! Co to?... Po cieczy straszliwej powoli płynie wydarty przez tryby i potem nieruszany kawał ludzkiej twarzy... I w tem... oczy! Jeszcze żywe, stygnące w męce konania, pełne niezmiernego bólu... czyjeś oczy...

Chciałem krzyknąć — głos ugrzązł w krtani. W lęku śmiertelnym przetarłem oczy, przywarłem łbem do zimnego żelaza. W ułamku sekundy wizja znikła... Żadnych djabelskich młynów. Cała „paka" spokojnie sobie stoi. Pensjonarze śpią. Lampki mrugają. Spokój. Wchodzę do celi...

ZA »LIS«

„Za co, dziadku, siedzicie?" pytam 90-letniego starca w łapciach i samodziałowym kaftanie. „Za lis, panoczku drogi, za lis", odpowiada chętnie. „Kradliście drzewo z lasu?" „Ne, panoczku, my nie kradli, my tolki brali drawa do pieczki". Zwykła kresowa historja. 3-ią część kryminałów na kresach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wypełniają tacy gentlemani w łapciach i wszystko „za lis".

Ot stoi sobie taka zatracona wioseczka w odległości 15-tu mil od kolei. Kilkanaście chałup z obejściami; na prawo odwieczny bór i pod nim smuga, kilkadziesiąt dziesięcin ornego gruntu, — na lewo, gdzie okiem sięgnąć, niezmierzona równina bagien i trzęsawisk. Z dziada - pradziada, jak najstarsi ludzie pamiętają we wsi — wioska się zaopatrywała w budulec i opał z tuż pod bokiem szumiącego boru. Tak zawsze było! Nie kradli — tylko brali. Dla wszystkich było jasne, że Wszechmocny i dobry Bóg, poto się ich praojcom w tej zapadłej dziurze osiedlić pod samym borem kazał, żeby te wszystkie Artemuki i Ostapuki miały z czego sobie chaty pobudować i żeby im w tych chałupach przy ogniu było ciepło. Co więcej Najwyższa Mądrość — umyślnie ten bór tu przed wiekami zasiała, bo przewidywała przybycie tu i rozmnożenie się wiernych i pobożnych „czubaryków". Inaczej przecież ani ich byt tu, wśród topieli i mokradeł, ani też ten „lis", sensu by żadnego nie miały.

Bór zmieniał właścicieli. Zaczęli się zjawiać strażnicy leśni i gajowi. Ale nie mogli oni zachwiać pierwotną wiarą ludu, że las ten jest Boży, nie mogli wytłomaczyć, że może on do kogoś tu na ziemi należeć, że brać stąd drzewo, to kradzież, a po drzewo trzeba jeździć po bezdrożach do odległej o wiele mil poręby i tam za ten Boży dla nich dar płacić z takim nieludzkim trudem zdobyte „hroszi", zamęczając do tego po wertepach biedną, maleńką, chudą „koniakę". Tego wszystkiego te kołtuniaste łby pojąć nie mogą. Choć bije po mordzie strażnik, nakłada „sztrafy", pakuje do „turmy" — nie mogą zrozumieć. Wszystkie te przykrości przyjmują, jako dopust Boży. Jako karę Bożą, ale, broń Boże, nie za kradzież drzewa, bo ta przecież niema miejsca, ale za inne grzechy. Ot tak, jak naprzykład sąsiad Trociuk — zajrzał w Wielki post do słoniny w komorze. Widzi, że z jednego boku zaczyna się psuć. Uznał to Trociuk za wyraźny palec Boży i wskazówkę, aby się w poście posilił. Skosztował więc pędzonej na święta samogonki, oderżnął nadgniły kawał sadła i przekąsił, nie wiedząc, że to wszystko była djabelska pokusa. I słuszna spotkała go też Boża kara: — Zaszedł do wsi przed samą Paschą posterunkowy. Widać chciał się przed władzą pochwalić gorliwością, czy też dać dowód, że do tej zapadłej dziury zajrzał; — dość, że zobaczył u Trociuka na podwórzu półrocznego szczeniaka i osztrafował na 5 złotych „za nietrzymanie psa podwórzowego na uwięzi". Kiedyindziej całą wieś za pijaństwo Bóg pokarał: przyjechała władza i kazała przy każdej chałupie postawić dziwaczną budkę z siedzeniem z dziurą pośrodku. Do czego taka budka służy, choć pan posterunkowy długo tłomaczył, ani rusz nie można zrozumieć. Jasne więc, że to dopust Boży!

Żegna więc chłop, jak po drzewo do boru wyjeżdża, krzyżem świętym i swój łeb kudłaty i drogę i konia — stara się Bogu dogodzić i w niczem nie zgrzeszyć. Zrąbał jednego chojaka, na drownie załadował, poprawił pasa, bierze się do drugiego. Rąbie, podcina... zajęty pracą, nie słyszy szybkich kroków... dopiero jak są tuż.

„A ty, hyclu, co tu robisz?" brzmi groźne, choć całkiem retoryczne, pytanie władzy.

Chłop na kolana: „Pomyłujte, panoczku". Na nic...

Pędzony do powiatu, całą drogę medytuje chłopina, kiedy i jak on zgrzeszył, że tak Stwórcę rozgniewał... Bo że wtedy, tego dnia w lesie, nie zgrzeszył, nic złego nie zrobił — to pamięta doskonale... Kiedyś przedtem musiał czemś Boga obrazić. W sądzie nie może się nadziwić, jak to sędzia, „pan", do tego stary i mądry, nie może pojąć tak prostej rzeczy, że on nie kradł — tylko brał to, co mu sam Bóg przeznaczył. Potem w kryminale nie dziwi się już niczemu.

N. N.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Przed pięciu laty szef rządu włoskiego Mussolini, zebrał u siebie w pałacu Chigi dziennikarzy faszystowskich i tak ich m. in. pouczał:

— Nie wyświadczają żadnej usługi regime'owi ci wszyscy, którzy nie szczędzą pochwał i w banalnych słowach śpiewają każdy akt i każde wydarzenie nawet niezbyt ważne i człowieka nawet małej miary, o ile jest związany z regime'm. Należy się od tego powstrzymać. Sześcioletnie wyniki rewolucji faszystowskiej są większe od wszelkich słów. „Rzeczownik" czyni tu zbytecznymi „przymiotniki".

Te mądre słowa nie są nawet w Italji dotychczas ściśle przestrzegane, choć trzeba przyznać, że oprócz nieustającego hymnu pochwalnego na rzecz Il Duce, prasa włoska nie zamieszcza służalczych notatek i artykułów o innych większych i mniejszych bożkach reżimu. Ostatnio, wyjątek pod tym względem stanowił tylko szef eskadry napowietrznej generał Italo Balbo. Po przelocie eskadry nad Atlantykiem sławiono go w mowie i w piśmie ponad wszelką miarę narówni nieomal z Mussolinim. Do rzeczownika przyrastały tu przymiotniki bez końca. Ale to był wyjątek. Gdzieindziej poza Italją racjonalna zasada Mussolini'ego wcale nie jest obserwowana, albo nawet stosuje się ją naodwrót: przymiotniki zastępują po większej części brak wszelkich rzeczowników.

Tak dzieje się w Niemczech, gdzie nie tylko Führer, ale rozmaici inni „wodzowie" i pochlebstwa dla nich zapełniają całe szpalty i stronice.

Ze spisu bóstw, których imiona codzień powtarzają miljony Niemców znikł w ostatnich czasach wszechmocny premjer pruski, minister lotnictwa i generał p. Göring. Jedni mówią, że poluje w lasach wschodnio-pruskich, inni, że dostał znowu ataku ostrego szału na tle morfinizmu, a wszyscy szepcą na ucho o ostrej walce pomiędzy nim a Hitlerem. Są tacy, którzy sądzą, że bezecna komedja sądu lipskiego została zaaranżowana tylko po to, aby zgubić pruskiego premjera.

W tem musi być coś prawdy, bo przecież trudno sobie wyobrazić, aby nieświadomie wszczęto tę kompromitację reżimu i aby nie było innego sposobu wyniszczenia lub wymordowania fałszywie oskarżonych.

Przez kilkanaście dni procesu nie ujawniono właściwie nic, oprócz jednego, że w przededniu pożaru z d. 27 lutego 1932 r. w dzielnicy robotniczej Berlina, czynni byli konfidenci - prowokatorzy z łona policji hitlerowskiej. Namawiali oni zrozpaczone i wygłodniałe masy w Neukölln do powstania i walki na barykadach. Wymieniono 2 nazwiska dostojników partyjno - policyjnych, którzy się na tem polu odznaczyli, a później figurowali jako świadkowie dowodowi na rzecz oskarżenia partji komunistycznej o spisek.

Im dłużej trwa proces lipski, tem większą jest kompromitacja reżimu. Tylko że cynizm tej władzy jest tak bezgraniczny, iż właściwie nic już jej skompromitować nie może. Resztki sumienności i uczciwości załamały się w sądzie. Przewodniczący p. Bünger skrzyczał i pozbawił prawa stawiania pytań Dymitrowa dlatego, że ten zapytał się van der Lübbego, czy słyszał on kiedykolwiek o jego nazwisku? To pytanie jaknajbardziej naturalne, dające w razie uczciwej odpowiedzi materjał wyjaśniający, czy istniał jakikolwiek stosunek między van der Lübbem a Dymitrowem, przewodniczący uchylił, jako „niedopuszczalną agitację polityczną"! Ten stosunkowo drobny wobec ogromu zbrodni sądowej fakt pokazuje, jak nisko upadł wymiar sprawiedliwości w Niemczech, wskazuje, że poprostu niema tam ani sądu, ani sprawiedliwości.

Jeżeli więc taką kompromitację wystawia się na widok publiczny, to widocznie chodzi o jakiś cel nieznany, ukryty.

Taksamo mówi się o delegacji p. Göbbelsa do Genewy: wysłano go dla skompromitowania. Istotnie rozpoczął swe urzędowanie na forum międzynarodowem p. minister Göbbels niezupełnie szczęśliwie. Oświadczył dziennikarzom w Genewie: widzicie, panowie, jakie zmiany zaszły w Niemczech, na miejscu Stresemanna siedzi nacjonal - socjalista.

A tymczasem formalnie na miejscu Stresemanna siedzi p. von Neurath, zaś nacjonal - socjalista Göbbels stanowi tylko głowę jego świty. Albo więc p. Göbbels przegadał się, albo też istotnie p. Neurath jest tylko „strohmannem" przy Göbbelsie. W każdym razie — faux pas najoczywistsze.

P. Göbbels zamierzał swą kwiecistą i ognistą wymową zdobyć Ligę Narodów, oczarować tak, jak tłumy bezrobotnej młodzieży studenckiej w Berlinie, wytłomaczyć wszystkim, co za wartość moralną ma hitleryzm.

Nic z tego nie wyszło, poza paru nieszczęsnemi wywiadami, w których dowodził pan minister niemieckiej propagandy, że wszystko jest w Niemczech jaknajlepiej i że wolność prasy to wymysł masoński do niczego nie potrzebny; pozatem p. Göbbels — wielki na podwórku berlińskiem, lub norymberskiem — okazał się małym — zagranicą.

Wysłuchać musiał do niego bezpośrednio adresowanych słów min. Johna Simona, o tem, że Liga musi stać na straży praw wszystkich mniejszości, bacząc, aby im nigdzie nie działa się krzywda. P. Göbbels zabrał się z powrotem do Berlina wraz ze swoim szefem, czy podwładnym p. Neurathem.

Zanim doszło do tego rozpowszechniono w Genewie artykuł b. redaktora *Berliner Tageblattu*, Teodora Wolffa, obecnie emigranta politycznego, o tem, jak p. Göbbels usiłował stać się współpracownikiem tego „żydowskiego" i demokratycznego pisma i jak próbki jego talentów spoczywały zawsze beznadziejnie w biurkach redakcyjnych. Obecnie minister propagandy mści się na wydawnictwie, które nie uznało jego talentu. Przed paru dniami jeszcze shańbioną i poniżoną przez przystosowywanie się do gustów władzy gazetę p. Göbbels zwymyślał w druku, jako organ brukowy za to, że *Berliner Tageblatt* — pozwolił sobie mieć w dziale kinowym inne zdanie niż „Der Angriff", organ pana ministra.

Przy rozglądaniu się po świecie wzrok zatrzymuje się teraz najdłużej na Niemczech, bo tam ogniskuje się źródło zarazy psychicznej i materjalnej, ogarniającej ludzkość. Tam w maksymalnej skali ukazuje się próba zawrócenia wstecz kultury, cywilizacji i rozwoju ducha. Stamtąd idzie przykład zaraźliwy, docierając do miejsc, w których najmniej spodziewać by się można tego bakcyla.

Biały Dom w Waszyngtonie np. znalazł się w zatargu z prasą. Chciał ją zuniformować, chciał ratować swoje skazane na niepowodzenie próby ocalenia kapitalizmu amerykańskiego przez zniesienie wolności słowa, chciał zobowiązać ustawą całą prasę, aby nie ośmielała się ganić „błękitnego orła" N. R. A. Zamiast dobrowolnej pomocy prasy ma teraz prezydent Roosevelt ostry zatarg z całą prasą.

Nad wzburzoną powierzchnią życia Stanów Zjednoczonych, nad odmętem krwawych strajków i zatargów buja błękitnopióry ptak pełen frazesów o energji, inicjatywie, bezstronności i autorytecie władzy. Organizuje się pochody na jego cześć, ale przecież burzy, która huczy nad Ameryką, temi egzorcyzmami nie zażegna się. Dużo mogą rządy autorytetów, ale nie mogą złamać żelaznej logiki wydarzeń i ich nieuniknionego rozwoju.

St. Gr.

BIBLJOTEKA DRAMATYCZNA „DROGI"

Wydawnictwo „Droga" oprócz książek z dziedziny polityki, spraw społecznych, ekonomicznych i ogólno-kulturalnych, publikuje również dzieła literackie, ujęte w dwie serje: „Bibljoteka poetycka" i „Bibljoteka dramatyczna".

W „Bibljotece dramatycznej Drogi" ukazały się ostatnio: „Everyman" („Każdy"), średniowieczny moralitet angielski w przekładzie znanego anglisty Stanisława Helsztyńskiego, oraz potężna tragedja antyczna André Gide'a p. t. „Edyp", w przekładzie Romana Kołonieckiego.

„Każdy" jest to klasyczne dzieło, ilustrujące teatr średniowieczny w Europie Zachodniej i bardzo dla tego okresu w dziejach teatru typowe. Jako doskonały „tekst źródłowy", przyda się bezwątpienia w nauczaniu szkolnem — zarówno przy nauce historji literatury, jak i przy nauce historji.

„Edyp" Gide'a jest nowoczesną interpretacją słynnego mitu, który tak bardzo absorbował wielkich tragików greckich. Znakomity pisarz francuski tylko częściowo trzyma się w tym utworze tradycyjnej wersji legendy o królu Edypie, częściowo zaś samodzielnie ją przetwarza. Tragedja Gide'a jest utworem, pełnym głębokich problemów etyczno-religijnych i nacechowanym surową prostotą artyzmu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Janinie B. we Lwowie: Wywód bardzo słuszny, ale nazbyt już popularny dla czytelników „Epoki".

Panu Zenonowi K. w Katowicach: Dziękujemy.

Panu M. St. L. w Dąbrowie Górniczej: Skorzystamy.

Panu J. M. w Poznaniu: Nie do druku.

Pani St. W. w Zawierciu: Książka Konrada Wrzosa „Oko w oko z kryzysem", ukazała się nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie.

Panu Aleksandrowi K. w Łodzi. Weźmiemy pod uwagę.

„Nauczycielowi" w Bydgoszczy: Członkowie Związku Nauczycielstwa Polskiego korzystają z ulgowej (25%) prenumeraty „Epoki".

PORADNIA ŚWIADOMEGO MACIERZYŃSTWA

i seksuologiczna dla kobiet w Krakowie przy ul. Pańskiej 7, udziela porad lekarskich niezamożnym osobom we wtorki i czwartki od godz. 6-tej do 8-mej wieczór, w piątki od 10-tej do 12-tej rano.

W tym samym lokalu czynna jest również we środy od godz. 6-tej do 8-mej wieczór *Poradnia Seksuologiczna i Eugeniczna* dla mężczyzn.

Obie powyższe poradnie utrzymywane są przez Towarzystwo Krzewienia Świadomego Macierzyństwa w Krakowie (Pańska 7).

Od administracji

Prosimy Sz. Czytelników o odnowienie prenumeraty na 4-ty kwartał 1933 r. Czytelnikom, którzy nie nadeślą przedpłaty do dnia 20 b. m., będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

TREŚĆ NUMERU:

Wydarzenia i dokumenty: Rządy w kolonjach. Ze statystyk angielskich. Ubogie stolice. Japonja i Abisynja. O filmie francuskim. Gdzie wyjście? — *Aleksander Rawski:* Bolesny kontrast. — *Widz:* Mieszczańska kawalkada. — Zamęt w pojęciach. — Ponura zabawa. — Kodeks i dziedzic. — Reportaż André Maurois. — Nie legenda! — *J. W.:* „U mety". — „Sprawa Dantona". — „Firma". — *M. Czarnowski:* „Nauka Polska". — *Jan Waśniewski:* Przekrój psychologiczny Ameryki. — *Ryszard Oborski:* „Brunatna księga". — *Dr. Marek Wajsblum:* Drogi historji. — *N. N.:* Reportaż z więzienia. — *St. Gr.:* Przegląd polityczny. — Odpowiedzi redakcji.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI. Z. 628 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.